MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 51. WARSZAWA, 15 GRUDNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

KATOLICYZM, RASIZM

i SPRAWA ŻYDOWSKA

W OSTATNICH tygodniach wzmogła się zwrócona przeciwko obozowi narodowemu kampanja, polegająca na pomawianiu go o wyznawanie hitlerowskich poglądów rasistowskich. Kampanja ta — czerpiąca natchnienie wyraźnie w źródle masońskiem i prowadzona w masońskim i żydowskim interesie — posługuje się ostentacyjnie frazesem katolickim i usiłuje kompromitować obóz narodowy stwierdzaniem rzekomej niezgodności jego stanowiska ze stanowiskiem katolickiem. W kampanji tej przoduje „Czas"; zaatakował on w tych dniach m. in. słynne, męskie wystąpienie księdza prałata Prądzyńskiego, poświęcone sprawie żydowskiej — i usiłował wykazać, że wystąpienie to jest sprzeczne ze stanowiskiem, jakie kapłan katolicki zajmować powinien.

Fałszywe założenia i przesłanki tej kampanji, oraz nielojalne, stosowane w niej „*trick*'i" agitacyjne należy przygwoździć.

Kampanja ta opiera się na błędnej tezie, jakoby obóz narodowy polski w swem ustosunkowaniu się do sprawy żydowskiej był identyczny z hitleryzmem niemieckim.

Nie potrzeba wiele wysiłku, by wykazać, że teza ta jest niezgodna z rzeczywistością.

Przedewszystkiem — przeciwko tezie tej przemawia fakt o wiele większej dawności obozu narodowego polskiego, wraz z jego doktrynami, od obozu hitlerowskiego. By zdać sobie sprawę z poglądów obozu narodowego polskiego w jakiejkolwiek kwestji, nie potrzeba posługiwać się metodą wnioskowania *per analogiam* (przez analogję z poglądami hitlerowskiemi), — wystarczy zapoznać się z pięćdziesięcioletnim już dorobkiem narodowo-polskiej literatury politycznej, lub ze stworzonemi przez obóz narodowy polski w jego pięćdziesięcioletniej działalności politycznemi faktami. Obóz narodowy polski, mimo że oddawna się sprawą żydowską i praktycznie i teoretycznie zajmuje, oraz mimo że w niektórych okresach, np. w roku 1912-tym, wysuwał się nawet na czoło ruchu antyżydowskiego w Europie i świecie, nigdy, ani na tle sprawy żydowskiej, ani na tle jakiejkolwiek innej, nie znalazł się w konflikcie z Kościołem. Doprawdy więc, trudno zrozumieć, na jakiej podstawie przychodzi komuś na myśl, iż obóz narodowy wchodzi w konflikt z katolicyzmem przez sam fakt, iż ma nieprzejednane stanowisko w sprawie żydowskiej!

Powtóre — przeciwko tezie o podzielaniu błędów hitleryzmu przez obóz narodowy polski przemawia fakt odmienności założeń ideologicznych jednego i drugiego.

Podstawą światopoglądu hitlerowskiego jest — rasizm. Stanowisko hitleryzmu wobec żydów i żydostwa, aczkolwiek zaprawione szeregiem motywów praktycznych i utylitarnych, wydedukowane jest teoretycznie z doktryny rasowej, polegającej na nieuznawaniu równowartościowości ras ludzkich, oraz stawianiu na pierwszem miejscu w hierarchji ludzkości rasy nordyckiej.

Ta właśnie doktryna jest źródłem konfliktu między hitleryzmem a Kościołem katolickim. Konfliktu zupełnie nieuniknionego: katolicyzm bowiem, będący Kościołem powszechnym, z samej swej istoty i z najgłębszych założeń swej doktryny, nie może się zgodzić z poglądem, który godzi w zasadę równości ludzi. Nie może również pogodzić się z teorją o nieuchronnej i nie dającej się pokonać przewadze ciała (rasy) nad duszą, a więc materji nad duchem. Nie może wreszcie obojętnie się pogodzić z niektóremi konsekwencjami praktycznemi rasizmu, sprzecznemi z moralnością katolicką i chrześcijańską, takiemi, jak np. system sterylizacji, albo niektóre inne szczegóły hitlerowskiego ustawodawstwa i metod administracyjnych i politycznych.

Ale co z tem wszystkiem ma wspólnego obóz narodowy polski?

U podstaw jego nie leży nic, coby miało z rasizmem cośkolwiek wspólnego. Istotą jego jest — służba narodowi. Obóz narodowy postawił sobie za zadanie dbać o rozwój narodu polskiego, bronić jego interesów, prowadzić jego politykę. Doktryną jego jest doktryna nie wchodzącego w konflikt z filozofją katolicką nacjonalizmu.

Stosunek obozu narodowego polskiego do żydów oparty jest na tych samych założeniach, co stosunek do innych, wrogich nam narodów. Uważamy żydów, — naród żydowski, — za jednego z największych i najgroźniejszych wrogów naszego narodu — i dlatego z nimi walczymy. Uważamy ich pozatem za czynnik, rozkładający europejską cywilizację. Nie znaczy to jednak, byśmy mieli wyłączać możliwość trafiania się pomiędzy osobami żydowskiego pochodzenia jednostek, któreby np. były dobrymi i szczerymi katolikami, albo któreby nie miały nic wspólnego ze znaną, żydowską etyką.

Walka jednego narodu z drugim jest rzeczą starą jak świat — i nigdy przez etykę katolicką nie potępianą. Jeśli np. dążymy do wyparcia ludności żydowskiej z Polski, do zniszczenia (i zastąpienia naszym) ich handlu u nas, do zlikwidowania ich wpływu na naszą kulturę i t. d., to nie jest to ani na jotę więcej od tego, co arcykatolicka Hiszpanja zastosowała wobec żydów i Maurów w wieku XV, my wobec Turków w odzyskanym Kamieńcu Podolskim w początku w. XVIII i tak dalej. Nie jest to również nic innego, jak walka o stan posiadania w miastach, w życiu gospodarczem, w kolonizacji wiejskiej i t. p. między Polakami a Rusinami w ziemi Czerwieńskiej, Polakami a Niemcami na Śląsku Górnym i Cieszyńskim przed wojną, Polakami a Litwinami w tymże czasie na Litwie, Węgrami a Słowakami w Słowacji, Włochami a Słoweńcami w Istrji, Flamandami a Walonami w Belgji, Francuzami a Irlandczykami w Kanadzie i t. d., to znaczy, niż walka prowadzona przez szereg społeczeństw katolickich i to prowadzona nieraz pod wodzą katolickiego duchowieństwa.

W walce takiej nieraz dochodzić może do wykroczeń, w których znajdują ujście gorące temperamenty. Ale nie te wykroczenia decydują o zgodności lub niezgodności tej walki z moralnością katolicką.

W swej istocie, w swoich najgłębszych założeniach walka obozu narodowego polskiego z żydostwem nietylko nie jest w sprzeczności z nauką katolicką, ale jest z tem, co służy dobru Kościoła, wręcz równoległa.

Żadne sofistyczne wywody przyjaciół żydów, kryjących się za parawan rzekomej skrupulatności w stosowaniu się do zasad prawowierności katolickiej, faktu tego nie zmienią.

J.

O WIELKĄ REWIZJĘ HISTORJI

SĄ pewne ideje, które wiszą niejako w powietrzu i jakby zarażają sobą, — wszyscy wtedy myślą o pewnych rzeczach jednakowo i mimo najrozmaitszych punktów wyjścia dla swych rozumowań, a często nawet i zgoła rozbieżnego ich biegu — dochodzą w rezultacie do jednakowych wniosków, stanowiących wspólny dla wszystkich cel, w którego poszukiwaniu często nieświadomie się jednoczą,— to jest właśnie prawdziwy duch czasu i prawdziwa potrzeba swojej epoki.

Jest to właściwie aż komunał, ale przyjemnie go sobie jeszcze raz powtórzyć i uświadomić, skoro te myśli, to myśli nasze, a te ideje, które zarażają, to ideały narodowe.

Tak jest właśnie z powszechnem domaganiem się nowego całkiem ujęcia naszej historji. Musi ono być powszechne, bo jasne jest, że żadne opracowanie z czasów niewoli dzisiaj już swojej wartości syntetycznej nie zachowało, i że tej wartości nie może mieć nawet i praca nowsza, ale pisana przez kogoś, kto jeszcze był „okuty w powiciu", tak, że nowa Polska jego charakteru nie urabiała. Tacy ludzie mogą co najwyżej wyczuć potrzebę tej rewizji, ale nie są w stanie jej przeprowadzić; bardziej śmiali z nich mogą nawet próbować pewnych dróg tutaj, odgadywać ich kierunki, ale ostatecznie rzecz tę poprowadzić będą mogli tylko młodzi, wychowani już we własnem państwie, rozumiejący jego rację stanu i potrzeby jego polityki.

Do tych wszystkich refleksyj pobudziła mnie nieduża książeczka głośnego dzisiaj Olgierda Górki p. t. „Dziejowa rzeczywistość a racja stanu Polski na południowym wschodzie" (Warszawa, 1934,

Libraria Nova, stron 32), z której zasadniczą tezą w zupełności się godzę. Wiem zresztą, że jest to zgodność czysto przypadkowa, bo nie podobają mi się ani tupet p. Górki, ani jego przekonania, ani wreszcie on sam w roli polskiego historyka mimo swego wielkoksiążęcego imienia i arystokratycznego (albo i ludowego) nazwiska — zadużo już mamy Handelsmanów, Feldmanów, Przeworskich czy Zmigryderów na naszych katedrach. Nie podoba mi się przedewszystkiem jego ton wyższości z jakim wypowiada różne ostre i uwłaczające sądy o narodzie naszym, niczem poprawdzie ich nie udowodniając (odkłada się to ciągle do późniejszych rzeczowych publikacyj, które jakoś jednak wcale z pod pióra tego hałaśliwego „naukowca" nie wychodzą). Mało p. Górce przykrej, ale bądź co bądź, przejętej troską i wiarą w naród krytyki Bobrzyńskiego i chciałby ją jeszcze pogłębić twierdzeniem, że sam naród polski nic nie wart. Niezmiernie też surowo ocenia naszą przeszłość, co właściwie nie powinno nawet i dziwić, bo przecież tylko „zrozumieć to przebaczyć".

Niemniej jednak sformułowania p. Górki, domagające się całkowitej rewizji naszej historji zarówno *in capite*, jak *in membris* i jak, przedewszystkiem domaganie się ocenienia jej pod kątem widzenia naszej racji stanu — są najzupełniej słuszne, bo (w tem może i cały sekret) nie potrzeba na to dziś p. Górki,—wszyscy to dobrze wiemy, a zaraz na wstępie powiedziane przez niego zdanie, że „żadna z nauk poza zawodną w swych konkluzjach ekonomją, nie dostarcza w tej mierze podstaw i materjału myśleniu politycznemu, co historja" — nie jest jego mozolnem odkryciem, ale starą prawdą znaną od wieków.

Wszędzie natomiast tam, gdzie p. Górka zaczyna wypowiadać najbardziej swoje poglądy i oceny—postawić trzeba bardzo duży znak zapytania, znowu przyznając, że jego ocena wymagań historycznej polskiej racji stanu na południowym wschodzie jest niewątpliwie słuszna (zresztą zgodna z Haleckim). Zato jaknajbardziej niesłuszna jest ciągła polemika z wielkim Sienkiewiczem, za którego gorącego wielbiciela obłudnie się p. Górka podaje. Nic dziwnego, bo tylko w ten podstępny sposób może próbować uszczknąć coś z jego laurowego wieńca; to jedyna droga do tego celu, który zresztą chyba nigdy osiągnięty nie będzie. Wielki pisarz, prawdziwy Polak, dobrze rozumiał duszę swego narodu i niema co szat rozdzierać, że tyle z jego suggestyj w patrzeniu na historję się upowszechniło. Głębszy on bowiem o wiele syntetyk od samego p. Górki, gdy tłumaczy brak zrozumienia polskiej racji stanu w czasach pojagiellońskich nie jakiemś narodowem niedołęstwem, ale tą wielką przemianą narodu i państwa, gdy w niem po unjach już nie interes jednej Polski się waży, ale także, jakżeż często z nim sprzeczne, interesy Litwy i Rusi z jej kozacką Ukrainą. Pan Górka tymczasem widzi w tem tylko polskie niedołęstwo, lenistwo, egoizm, kwietyzm... itd., co oczywiście jest całkiem powierzchowne—skoro wszystko to przez tamtą sienkiewiczowską diagnozę się tłumaczy.

W każdym razie nie mamy dzisiaj takiej historji, jakiej nam trzeba i jakiej chcemy. Nowsze badania poobalały stare sądy, a wiele z nich nawet i bez atakowania się rozleciało — wszędzie pełno fragmentów czekających na uporządkowanie syntezą—ale tę my zrobimy, a nie ludzie z pod znaku p. Górki. Ten trud czeka młodych narodowych historyków i napewno będzie wykonany.

KAROL STEFAN FRYCZ

ROZPROSZENIE, JAKO KALECTWO UMYSŁOWE

I. ZAGADNIENIE MIERNIKA UMYSŁOWEGO [1]

PRZYSTĘPUJĄC do oceny rozproszenia żydostwa pod kątem widzenia samowystarczalności lub niesamowystarczalności myślowej nawet dla własnych potrzeb, oraz zdolności lub niezdolności do przetwarzania wyobrażeń w pojęcia i łączenia tych ostatnich we wnioski, zdolności lub niezdolności do wytworzenia sobie należytego drogowskazu życiowego; odpowiedniości lub nieodpowiedniości kierunku wysiłków myślowych itd. czyli pod kątem widzenia tych objawów, które w życiu codziennem otrzymały nazwy „zdrowego rozumu" i „głupoty", na wstępie należy zaznaczyć, że za miernik do odnośnej oceny jest brany i może być brany tylko miernik narodów rdzennych, a nie miernik żydowski.

Poziom myślowy danego społeczeństwa jest wyrazem jego historycznego rozwoju, różnorodnych warunków jego bytu.

Inaczej przedstawia się tężyzna myślowa w pojąciach ludzi, żyjących w warunkach bytu osiadłego, a inaczej w warunkach koczownictwa. Inaczej w warunkach zamieszkiwania w zwartych masach w swoim kraju, czyli wśród swoich, a więc w warunkach możliwie największego bezpieczeństwa, a inaczej w krajach cudzych, wśród obcych, w rozproszeniu, a więc w warunkach stałego niebezpieczeństwa, zwłaszcza, jeżeli taki byt wśród obcych ma być uważany przez dany żywioł za jego byt „naturalny", za jego byt „normalny".

Dla narodów rdzennych, jako narodów osiadłych, rozum i rozsądek, czyli tężyzna myślowa wyrażają się w zdolności zabezpieczenia potrzeb i chęci ich członków raczej przez opanowanie otaczającej ich przyrody, a nie ludzi. Ci ludzie są wszak swoi. Każdy z nich zdany jest na pomoc drugiego. Tylko wzajemne poparcie stwarza warunki siły każdego z nich nazewnątrz. Ponieważ ci członkowie, jak wynika z powyższego, muszą mało różnić się między sobą w ocenie tych wysiłków, tem więcej, że jako członkowie tegoż społeczeństwa nie są zainteresowani w osłabieniu tych zdolności u swoich rodaków, przeto ich poglądy na swój rozum, na swój nierozsądek, nie koliduje z odnośnemi pojęciami ogółu.

[1]) Ob. artykuł tegoż autora w nr. 47 „Myśli Narodowej" p. t: „Rozproszenie jako kalectwo".

Narody rdzenne pozatem, żyjąc wśród swoich, a więc w warunkach, jak zaznaczono, możliwie największego bezpieczeństwa swego bytu, działają we wszystkich swych poczynaniach otwarcie, nie ukrywają swoich myśli, nie nadają im nazewnątrz innej treści, bo nie mają potrzeby, nie mają złych zamiarów. Umysłowość ich tym sposobem w swoim historycznym rozwoju musiała osiągnąć prostolinijność, jasność, szczerość, otwartość, czyli przejawy naturalności, normalności.

Ponieważ narody rdzenne w Europie kształtowały się naogół w jednakowych warunkach swego bytu osiadłego, przeto poziom rozsądku ich wszystkich mało różni się między sobą. Ten poziom, można twierdzić, jest u nich mniej więcej jednakowy.

Gdy się mówi o tym rozsądku narodów rdzennych, ma się na względzie czyste przeżycia myślowe szerokich mas, tkwiące w głębi ich jaźni narodowej i będące dorobkiem ich bytu w normalnych warunkach, a więc nie skażone wpływami żydostwa, które obrało sobie rozproszenie za „naturalny" tryb swego bytu i które wobec tego musiało wytworzyć dla siebie swoisty miernik dla tężyzny myślowej.

W istocie. Obierając rozproszenie, a nie byt osiadły w zwartej masie we własnym kraju ojczystym za „normalny" tryb swego życia i skazując siebie w ten sposób na niesamowystarczalność, żydostwo musiało utracić poczucie tego wszystkiego, co się dokoła niego dzieje, zarówno po stronie przyrody samej, jak i ludzi, wśród których pragnęło ono żyć. Bo, zamiast skierować swoją uwagę na zdobycie sobie dogodnego bytu przez bezpośrednią pracę nad opanowywaniem, ujarzmieniem przyrody, żydostwo skierowało cały swój wysiłek myślowy na usidlanie, ujarzmianie innych narodów, aby przez podejście ich, przez wprowadzenie ich w błąd, obrócić ten obcy dorobek na swoją korzyść. Przyrody nie poznało, bo odsunęło się od niej. Narodów rdzennych również nie przeniknęło, bo psychologicznie nie jest zdolne do tego: mając swoisty klucz etyczny, o czem już wiemy, uznało ich za rasę niższą, za „gojów", którymi należy zajmować się o tyle, o ile ich trzeba wyzyskać. Wszak żydostwo to „naród wybrany"...

Skutek musiał być taki, że żydzi utracili poczucie rzeczywistości.

Nie trzeba zapominać, że przekazywanie tego sposobu myślenia przez szereg pokoleń od zarania historji żydowskiej — bo przecież rozproszenie istniało i przed rozgromem Jerozolimy przez Tytusa — muiało spotęgować w niezwykłej mierze owa nienormalność w umysłowości żydowskiej i doprowadzić ją do stanu wyjątkowo patologicznego.

„Rozumne", „rozsądne" w pojęciu narodu żydowskiego może być i musi być to, co prowadzi do zabezpieczenia potrzeb i pragnień jego członków. „Głupie", „nierozsądne" jest to, co nie prowadzi do tego celu. A ponieważ w warunkach rozproszenia, jako stałego bytu wśród obcych, ten pożądany dla żydostwa wynik musi powstawać kosztem tych obcych, czyli ludności rdzennej, przeto pogląd żydowski na „rozum", na „nierozsądek" musi stale kolidować z odnośnemi poglądami ludności rdzennej.

Pozatem żydostwo, godząc przez ten swój byt stale w interes otoczenia i znajdując się wskutek możliwej reakcji tego ostatniego w warunkach stałego niebezpieczeństwa, nie może zasadniczo wyjawiać wobec niego swoich istotnych zamiarów, swoich ukrytych celów. Nazewnątrz, dla „gojów", te zamiary, te cele muszą przeto otrzymywać zupełnie inną treść. Umysłowość żydowska tym sposobem w swoim historycznym rozwoju musiała osiągnąć — krętość, zawiłość, nieszczerość, tajemniczość i t. d. czyli przejawy nienaturalności, nienormalności.

A zatem. między miernikiem umysłowym narodów rdzennych, jako narodów osiadłych,— z jednej strony, a żydostwa, jako żywiołu koczowniczego — z drugiej strony, istnieje stała sprzeczność, stała kolizja.

Wobec takiej stałej kolizji tych dwóch mierników, któryś z nich musi być uważany za obowiązujący w krajach Europy — o nie nam chodzi.

Jasne jest, że nie żydowski. Należąc do rodziny narodów europejskich musimy przystępować do oceny wszelkich przejawów życia, i to zarówno swego, jak obcego, a więc i żydowskiego, ze swoim kluczem umysłowym, a nie z kluczem obcym. Bo, pomijając już nakaz instynktu samozachowawczego, takie posiłkowanie się obcym kluczem, obcym miernikiem byłoby sprzeczne z przeżyciami myślowemi najszerszych mas, byłoby sprzeczne z poziomem umysłowym danego społeczeństwa, stanowiącym wszak jego dorobek historyczny, a więc godziłoby w zdrowy rozsądek tych mas, czyli byłoby przejawem tego, co w życiu codziennem nosi nazwę — „głupoty".

Przypuśćmy na chwilę, że żydowski miernik umysłowy miałby obowiązywać narody rdzenne w ich krajach ojczystych. Ale, co oznaczałoby wówczas takie stanowisko w zakresie oceny dorobku cywilizacyjno-kulturalnego narodów? Ono oznaczałoby uznanie, że koczownictwo jest dalszym z kolei, jest wyższym okresem w historycznym rozwoju ludzkości, niż byt osiadły, i że, wobec tego, narody rdzenne, chcąc osiągnąć umysłowość odpowiadającą temu „wyższemu" poziomowi, muszą przejść do żydowskiego bytu w rozproszeniu, czyli do zmienionej, jak już wiemy, formy koczownictwa.

Oczywista niedorzeczność, możliwa do przyjęcia tylko przez umysłowość żydowską, oraz przez tych osobników z łona narodów rdzennych, którzy odznaczają się słabą odpornością umysłową i którymi, dzięki temu, tak łatwo posiłkuje się żydostwo w swojej walce z otoczeniem rdzennem.

A zatem umysłowość żydowska, która, dzięki bytowi w rozproszeniu, stała się schorzałą, nie może być dla narodów rdzennych, jako narodów normalnych, zdrowych, miarodajna przy ocenie tego, co jest w ich życiu „rozsądne", a co jest „nierozsądne".

Zresztą, sami żydzi, ale ci najwybitniejsi, w chwilach rozwagi nad dalszym bytem żydostwa, a przytem w chwilach szczerości — bo we własnem gronie — stwierdzają z goryczą, że żydostwo jest tworem o schorzałej umysłowości.

Zastanawiając się nad niechęcią żydostwa do ziemi, czołowy publicysta żydowski, Jakób Siehmann, zamieszkały już w Erec Israel, w kwietniu 1930 r. pisze:

„Zdrowi ludzie — a także i zdrowe narody — odznaczają się przedewszystkiem tem, że trzymają się elementarnych wartości. Elementarne wartości to są pierwsze

potrzeby, pierwsze źródła, z których czerpiemy wszystko: nasz pokarm fizyczny, jak również pokarm duchowy. Nie wszyscy posiadają ten zmysł w jednakowej mierze. Im człowiek (lub naród) jest więcej oddalony od przyrody, tem słabiej jest on związany z życiem naturalnem, tem więcej traci on poczucie istoty życia, poczucie „pierwszych wartości". Otrzymując sam wszystko z drugiej ręki, z „obcego źródła", staje się on obojętniejszy coraz więcej dla pierwszego źródła, dla początku, dla praźródła. Tak zaczyna on biec za cieniami rzeczy, pogardzając dawnemi metami, z któremi nie ma już żadnej bezpośredniej styczności. I nie tylko dlatego że ich nie zna, on ich już nie chce znać. Nie tylko, że już nie posiada zdrowej namiętności do nich: on poczyna już lękać się ich. Jest to lęk przed rzeczywistością — przed jej szczęściem i przed jej odpowiedzialnością. Śród „pierwszych wartości", do których my, żydzi, straciliśmy od wielu lat zdrowy zmysł, najtragiczniejszą jest nasza tępość do rzeczy najelementarniejszej: do istoty każdej rzeczywistości, do ziemi... Jeszcze w Gemarze znajdujemy chorobliwe oznaki naszej pogardy dla ziemi, ponad którą handel niesłychanie wyżej stoi i jest ceniony...

Cudownie swego czasu wyjaśnił to chorobliwe zjawisko w naszej psychice z krajów rozproszenia Bialik (Chaim Nachman Bialik, uczeń Achad-ha-am'a, przyp.). W ciągu tysięcy lat—powiedział on kilka lat temu na zebraniu nauczycieli w Kafar Namor — nasza funkcja we wszystkich dziedzinach życia i twórczości nie polegała na rozpoczynaniu, na kładzeniu pierwszych podwalin, a zawierała się jedynie w wyzyskaniu tego, co inni rozpoczęli... My stale przychodzimy do starego. Nawet tam, gdzie myśmy niesłychanie dużo zdziałali, nas nie ciągnęło do duchowego elementarnego zetknięcia się z pierwszemi źródłami. Myśmy utracili sens dla „pramaterji". W tem wyraża się nasza słabość, nasza zwyrodniała („degenerirte") duchowość, która nie uczuwa potrzeby oparcia się na prażywiołach. Dlatego też— zakończył swoją myśl Bialik — dla nas jest tak konieczne za wszelką cenę jeszcze raz związać się z ziemią, gdyż tylko ona jest w stanie uzdrowić naszą psychikę..." („Hajnt", W-wa, 87/1930 r.)

A Icchok Grinbaum, jako prezes „koła żyd." w Sejmie polskim, podczas swego referatu w Lublinie, w gronie zaufanem, w listopadzie 1929 r., powiedział:

„chorego nie można wiecznie tolerować. Nawet ojciec lub matka, jeżeli są stale chorzy, stają się ciężarem. Narody nie mogą nas znieść. My zakażamy powietrze, jako naród chory..." („Der Moment", W-wa, 272/1929 r.)

Czy i po tych wyznaniach takich czołowych przedstawicieli żydostwa—Bialika, Siehmanna, Grinbauma, odważy się ktokolwiek — zdrowy na umyśle — powątpiewać o niedopuszczalności posiłkowania się żydowskim miernikiem umysłowym — przy ocenie przejawów życia narodów rdzennych w Europie?

ZBIGNIEW KRASNOWSKI

NOCE I DNI

(Ciąg dalszy)

II

GŁĘBSZYM od narracji obyczajowej, od rodzajowych obrazków, głębszym od obserwacyj historycznych, politycznych i społecznych, głębszym, bo bliższym problematyki centralnej utworu, arcymotywacji jego, jest pokład psychologiczny: „Noce i dni" są powieścią psychologiczną. Tę obserwację autorka prowadzi wytrwale i wnikliwie; bardzo ciekawe są analizy psychologiczne rozmaitych drobnych a subtelnych sytuacyj towarzyskich — i tylko fizyczna niemożliwość popierania swej oceny cytacjami nie pozwala mi tak w tem, jak i w wielu innych miejscach tego studjum przytaczać z powieści interesujące wyjątki (co uważam za niezbędny składnik recenzji jak się należy). Ale zwłaszcza pani Barbara Niechcicowa, matka znanej już nam z imienia Agnieszki, jest malowana wprost z pasją, niezmierną ilością spostrzeżeń i rysów, zawsze znaczących.

Wpatrzywszy się nieco uważniej w ciżbę osób i zdarzeń powieści „Noce i dni", dostrzeżemy, iż obserwacja psychologiczna jej autorki nie jest obojętnie deskryptywną, wyjałowioną z wartościowania, wynikłą z czysto gnostycznej ciekawości. Jej osobistości są psycho-moralne, tworzone są jako ucieleśnienia pewnego moralnego problematu i tworzone jako przedmioty moralnego osądu. Przez cały psychologizm „Nocy i dni" przebiega tajna linja podziału na dusze dobrze i dusze źle urodzone, na psychologiczną treść powieści składa się w znacznej mierze nieunikniony dramatyczny konflikt między jednymi i drugimi. Głęboko zajmującą jest psychologja macierzystego Agnieszki Niechcicównej rodu, rodu Ostrzeńskich; ci ludzie wszyscy są odmienni — ale przez tę rozmaitość przebiega nić wyczuwalnej jedności, którą uświadomić sobie aż do nazwania jej, jest powabnem (także estetycznie!) zadaniem dla czytelnika uważnego, czyli krytyka; zresztą autorka sama przez swoich *porte-parole*'ów ułatwia to zadanie.

Rodzina Ostrzeńskich, wywodząca się od ziemiana-utracjusza, który „nie znosił wsi", należy do rodzin zasadniczo inteligentnych, jest tam skłonność do zabaw natury intelektualnej lub estetycznej, autorka przydzieliła im wiele uroku osobistego, zalet fizycznych — a jest jakiś rys nieodpartego autentyzmu w tych ludziach z powieści; dzięki temu, przyznam się, tembardziej na serjo biorę ich psychikę. Barbara jest rodzajem „kobiety-sfinksa": o sercu litościwem i otwartem na wszelaki patos: dziejowy, estetyczny, moralny, patrjotka zapalczywa, pracownica skwapliwa i zażarta, uczciwa i prawdomówna aż do skrupulatności, lojalna, o usposobieniu wiernem, erotycznie urocza przez głęboką, ale utajoną, dającą się tylko wyczuwać pasję i furję, co przenika całą jej pozornie zastygłą osobistość, kobieta, umiejąca wznieść się do sprawiedliwego samosądu i do skruchy, — przy tych cnotach i zaletach, tylko takiemu charakterowi swego męża Bogumiła, jakim go autorka obdarzyła, jego zaiste „świętej cierpliwości" i miłości nieznużonej zawdzięcza, że ich małżeństwo nie rozbiło się. Jeszcze lepiej przez autorkę wyposażoną, bardziej od Barbary uroczą i umysłowo głębszą od niej, jest jej siostra Teresa, która nie umiała nigdy zauważyć prawdziwych a dyskretnych uroków duszy swego męża. Piękny Janusz, ich bratanek, egotysta i narcyz, zastygły w swej bierności serca, niszczy życie lekkomyślnie uwiedzionej kobiety. Ojciec jego Daniel, ongiś powstaniec, człowiek przystojny i dystyngowany, niepozbawiony uczuć honoru i pogardy dla wszystkiego, co interesowne, zamęcza swą żonę erotomanją małżeńską i małoduszną, tchórzowską ostrożno-

ścią życiową, przechodzącemi, jedno i drugie, w psychozę. Młodsi dwaj synowie Daniela, Anzelm i Bogdan, to skończone samoluby i spryciarze — spryciarze już po swej matce, — każdy w swoim rodzaju. Drugi brat Barbary i Teresy Ostrzeńskich okazuje się manjakiem szlachecko-rodzinnego pyszałkostwa. Z trojga, które przy życiu pozostały, dzieci Barbary z Niechcicem, o Agnieszce będzie mowa później, młodsza Emilka, dziewczyna nawskroś bierna i bez stabilizacji wewnętrznej, zmienna i skłonna do hipochondrji, jak jej matka, choć i ona nie bez odruchów dobrege serca; najmłodszy Tomaszek też czasem zachowuje się tak, jakby miał duszę i robi wrażenie miłego chłopca, ale razem z nim, w normalne mimo niezgody małżeńskiej i solidne życie Niechciców, wchodzi pierwiastek patologiczny.

Przy takiej skali charakterów u ludzi z krwi Ostrzeńskich na czemże polega owo tajne ich podobieństwo? Np. pomiędzy Barbarą o bohaterskich impulsach, ale wiecznie zmartwioną, a tym honorowym, ale płaskim bratem jej Danielem? Ona „czuje się nieszczęśliwą, że zamało kocha męża, on, że zanadto kocha żonę" i że już ani na chwilę obejść się nie może bez tej swojej ruchliwej a smakowitej Michasi; „czyżby te sprzeczne rzeczy miały jakąś wspólną, niedocieczoną przyczynę?" (III, 2, 24/5). Albo jakaż wspólność między tą prawdomówną Barbarą, a jej dzieckiem nawskroś kłamliwem, chłopcem, u którego „niepamięć samego siebie zdawała się być głównem źródłem jego uchybień i pobłądzeń" (III, 1, 449), który „jest garścią fantastycznych odruchów, a nie kimś, nie indywidualnością" (IV, 2, 199)? Nazwę odrazu tę strukturalną w psychice Ostrzeńskich wadę: Jest nią brak woli do rzeczywitości; w tej wspólnej im wszystkim cesze ducha mieszczą się te wszystkie, tak różnorakie psycho-moralne warjanty. Ale naprzód, w jednem zdaniu, co to jest wola do rzeczywistości? To jest wola do tego, ażeby był świat pozamną, jakieś rzeczy i sprawy odemnie niezależne, takie, z któremi będę na przyszłość liczył się, bez względu na mą zmienność, na aktualne moje widzimisię; ażeby był, słowem, objektywny porządek rzeczy i wartości, ażeby rzeczywistość była. W tej interesującej, ale troszkę patologicznej rodzinie, którą Dąbrowska odpisała, czy wymyśliła, mamy rozmaite objawy braku tejże woli, od najsubtelniejszych po najtrywialniejsze.

Najsubtelniej to się ujawnia u dwu sióstr, Teresy i Barbary; na szczególną uwagę zasługiwałaby Teresa, ale, znowuż dla oszczędności miejsca, nie chcę w jej subtelności wdawać się; bardziej wyrazistą jest ta „wiecznie zmartwiona", wiecznie i zawsze niezadowolona albo nienasycona momentem, albo nasycona zbyt krótko, Barbara. Choroba, która trawi ją — i jej siostry — to chyba to, co się nazywa *mal romantique?*... Proszę zauważyć, jak często bohater romantyczny nie może usiedzieć na miejscu, wierci się tam i sam, jakby go świerzbiło, błądzi, wędruje, ugania za czemś, galopuje niewiadomo gdzie i poco, ciągle w ruchu, ciągle w niepokoju... Jego miejscem ulubionem jest zawsze to miejsce, gdzie jego niema, towarzyszem najmilszym człowiek, który jest gdzieindziej, albo którego niema wcale... Otóż taka psychika została przez autorkę „Nocy i dni" doskonale u kogoś zaobserwowana, zrozumiana i setką przykładów zilutrowana. Wszystko, tylko nie to, co akurat jest, co aktualnie rzeczywiste. To, co jest tu i teraz, budzi niedosyt przez to właśnie, że jest — i jest tu i teraz. Niepokojąca i groźna osowiałość, z jaką Niechcicowa z Ostrzeńskich zbyt często przyjmuje skromne radości i nawet silne rozkosze swego życia, wynika z głębokiej, tej właśnie, co znamienną dla romantycznej dolegliwości ducha, nierównowagi między wyobraźnią niekoniecznie konkretną, ale bujną i wyniosłą—a jakimś, niewiadomo czy organicznym, czy moralnym niedoborem energetycznym w sferze uczuć, jakąś oschłością subjektywną, naskutek której wszystko, co jest — jest zbyt anemiczne, aby mogło wytrzymać porównanie z mętnemi i nieokreślonemi, ale powabnie niepokojącemi majakami wyobraźni. Człowiek tak urodzony, nigdy nie zechce uznać, że nawet proza życia, przez to samo, że jest nieunikniona w całokształcie bytowania, nie może być radykalnie i integralnie zaprotestowaną i odrzuconą, ale że z tem jej objektywnem i niezależnem od człowieka istnieniem można się jakoś pogodzić — tym mianowicie sposobem, że się ją weźmie jako sposobność do wypełnienia objektywnej powinności; ale żeby tę powinność, choć niby dobrowolnie przyjętą, lecz w istocie przez zewnętrzny świat, przez rzeczywistość narzuconą, żeby ją spełniać bez zgrzytania zębami, nie gryząc wiecznie wędzidła, trzeba mieć ten talent, czy psycho-organiczny, czy czysto duchowy, trzeba mieć w sobie tę soczystość uczuciową i tę cierpliwość, aby we wszystko, co życie przynosi, inwestować, choćby to nawet przykre było, jakieś zainteresowanie się i przywiązanie... Może niemożliwa jest ideowa wola do rzeczywistości tam, gdzie takiego talentu, takiego przyrodzonego usposobienia niema?... Niech zilustruje, o co idzie, ten fragment rozmowy między Barbarą a Bogumiłem:

Bogumił: „Można przy każdej robocie mieć swobodną myśl, każdą i chcieć i starać się zrobić jak trzeba". Barbara: „Ja to nazywam przystosowaniem się do byle czego, zatraceniem wszelkiej ambicji". Bogumił „umilkł, zaczerwienił się i zamyślił. Owszem bywa takie przystosowanie się, godzenie na cokolwiek, czy w robocie czy w postępowaniu, kiedy człowiek jakby zrzeka się wszelkiej myśli, że może być wart czegoś lepszego. Albo kiedy naodwrót gotów jest na jakąkolwiek rolę dla swego interesu... Ale jest inne przystosowanie, kiedy człowiek jakby doszukuje się w każdym swoim losie, w każdej robocie czegoś dobrego; schodzi niby w jej głąb i tam znajdzie te nici, co ją łączą ze wszystkiem, o czem dusza zamarzy. Po dobre schodzi się w głąb, a znów nad złe i marność takiego niemiłego losu, podnosi się, ulata niby w górę. Coś w tym rodzaju majaczyło mu się w postaci obrazów z własnego życia, lecz nie umiał powiązać tego w słowa. Aż się tem zmartwił, bo mu przyszło do głowy, że gdyby umiał wypowiadać się i Basia inaczejby na niego patrzyła" (III, 2, 31).

Ale Basia nie miała „woli do rzeczywistości" Jej rzeczywistością, faktem objektywnym, który ciężył nad nią, niezależny od jej humorów, było jej małżeństwo z Niechcicem, za którego wyszła bez miłości, ale który się jej spodobał i był sympatyczny, który był przystojny, zdrowy, zakochany po uszy, bardzo dobry, bardzo uczciwy, i chociaż bez wykształcenia — a ona wychowała się w domu, gdzie dysputowali i deklamowali — rozsądny, choć niewymowny; otóż jej powinnością było starać się, w tym dość szarym, ale w istocie wcale nie pospolitym człowieku, który i bohaterskie lata młode miał za sobą — pojąć i wyzwolić to, co miał do powiedzenia, co w nim było

oddenne a zajmujące. Tymczasem i ona i jej siostra, obie o wyobraźni wyniosłej, obie pragnące żyć szlachetnie, obie o życzliwem wobec ludzi i świata nastawieniu, schną całe życie z tęsknoty, nie chcąc czy nie umiejąc odcyfrować ludzi, odcyfrowania godnych, z którymi dobrowolnie powiązały się. Coprawda, autorka pozostawiła jedną niejasność: nie bardzo wiadomo, czy ona tak wiecznie marudzi, dlatego że małżeństwo jej, pół — czy pseudo intelektualistki z człowiekiem o żadnych w tym kierunku pretensjach, nie jest faktycznie zanadto dobranem, i czy z tym swoim wymarzonym Toliboskim o ładnej bródce i z ładną wymową, byłaby inną, czy też „wieczne zmartwienie" siedzi w niej samej i przy tamtym też znalazłaby preteksty do swoich dyshumorów?

Przy tej niepewności czytelnika, problemat „wiecznego zmartwienia" duszy, która nie umie i nie chce przyjąć rzeczywistości, nawet wtedy, gdy ta wcale nie jest tak katastrofalna, — ulega pewnemu zmąceniu się i osłabieniu.

Ale jest to zarzut czysto teoretyczny: powieść napewno mówi o ludziach, którzy byli naprawdę, a ten autentyzm jest dostatecznie estetycznie pożywny, daje tyle czucia, iż warto tu pozwolić sobie na współczucie, tego niejakiego braku konstruktywnego nie wypada autorce karbować jako winę.

Barbara ma swoje szczęśliwe chwile nagłego oświecenia; jednego razu

„...o tak, tak! Już parę razy, pamiętała, doznała tej pewności, że każdy drobiazg, każdy człowiek, może mieć wyjście na sprawy powszechne i wieczne, i że to właśnie i jedynie oznacza religję. Lecz nigdy nie doznawała tego z tak pocieszającą siłą, jak w tej chwili. Zerwała się i stała bez ruchu, modląc się, żeby nie znikło to poczucie, że pławi się w świetle, że serce jej bije zgodnie z sercem nieba i ziemi, obcuje z Bogiem" (III, 2, 106).

Ale jakoś to minęło, niedługo... Nie umiała tego przytrzymać... może dlatego, że nigdy nie próbowała, religijnie naogół indyferentna, bardziej metodycznie takie momenty hodować, w oparciu o jakiś system objektywny?... Ale to pytanie już wykracza poza te, które są w książce, więc dajmy temu pokój. Dość, że w tej biednej Barbarze, równie biednej jak nieznośnej, Dąbrowska dała świetny typ istoty amfibicznej, która nie umie się zróść „ani z bytem przyziemnym, w którym żyła, ani z bytem wzniosłym, do którego tęskniła"... Procesy psychiczne, które się na tę nieumiejętność złożyły, nazwałem tu sobie w skrócie „brakiem woli do rzeczywistości".

U innych Ostrzeńskich brak ten inaczej się przejawił. Ten ładny blady Janusz ma między sobą a światem jakby taflę snu, której nawet przebić nie usiłuje, aby się do rzeczywistych ludzi przedostać, bytując letargicznie, bez wzruszeń, bez zapałów. Taki człowiek cierpi, żebym tak powiedział, na egotyczną formę braku woli de rzeczywistości: Jeden z ideowych samejże autorki reprezentantów, Ceglarski, perswaduje mu, że jest „chory na siebie", że „zawsze tylko myśli o sobie, z powodu dręczącej niemożności przejęcia się czemkolwiek, a nawet jakby z niedostateczności własnego istnienia":

„Najwięcej myśli i mniema o sobie ten, kto jest niczem. Największym indywidualistą jest ten, kto nie ma żadnej indywidualności. A indywidualnością stać się można tylko związawszy się z czemś, co nie jest nami. Siebie znaleść i stworzyć trzeba, ale to jest możliwe tylko w zapomnieniu o sobie. Choć to jest właściwie błędne koło, bo z drugiej strony trzeba być sobą, aby móc zapomnieć o sobie i wyjść ze siebie — Ale na tyle istniejesz chyba przecie..." (III, 2, 263, 285).

Przy paradoksalnej tej psychologji i psychoterapji, ucho chwyta echo bardzo dawnych słów o duszy, którą trzeba „stracić", aby ją „uzyskać"...

Podobnież Daniel O., ten manjak małżeńskiej miłości, nie posiadał żadnej „dążącej dokądś treści" — „dokądś", to znaczy w świat wartości objektywnych — więc niezależnych od siebie, więc „rzeczywistych". Dla Anzelma i dla Bogdana drugi człowiek tak nie istnieje, jak nie istnieje dla przestępcy: Boć przestępca i wogóle zły człowiek chyba nie czuje, że drugi człowiek, jego ofiara cierpiąca, jest naprawdę, zły człowiek zna nie istotną, ale tylko powierzchowną i pozorną rzeczywistość drugiego, jak np. nie zna istotnej rzeczywistostości ostrygi ten, co ją zjada żywcem: gdyby zły znał bliźniego w całej jego pełni rzeczywistej, nie mógłby chyba być złym?... (Co innego sprawiedliwość odpłatna wobec złych). — Wreszcie, dla kłamliwego tego Tomaszka nie istnieje nic co było. Trzeba mieć święty jakiś lęk wobec tego, co ma nieporównany ten walor, że było, było naprawdę, odstać się nie może, — trzeba mieć ten dziwny lęk, aby nie być kłamcą. Człowiek prawdomówny chce całą siłą duszy, aby dalej był świat, choćby się nawet w niebyt minionego zanurzył, aby był w prawdzie sprawozdania. Prawdomówna, o „srebrzystych", jasnych oczach Barbara, jakąś zgrozę czuje, jakiś wstyd zgwałconej niewinności, wobec swego kłamliwego docna dziecka, o dziwnem, mętnem, jakby nieludzkiem niekiedy spojrzeniu. Subtelnie i górnie zaczęty łańcuch marzycielskiego egotyzmu schodzi w dół, aż do ogniwa tkwiącego już w psychozie i czającem się przestępstwie. Powieść „Noce i Dni" nie jest ukończona; autorka napewno będzie snuła dalszy jej wojenny i powojenny ciąg; tego Tomaszka czekają jeszcze brzydkie jakieś i straszne rzeczy... A może nie? może zrobi karjerę?...

Typowi Ostrzeńskich przeciwstawia autorka typ Niechcica.

Między nimi zaś przewija się pełno sytuacyj i sylwet psychologicznych, niekiedy groźnych i wyrafinowanych (np. jedna rozmowa małżonków Niechciców, której szkoda, że nie mogę przytoczyć), tworzonych przez autorkę z prawdziwym psychologicznym dowcipem. Dąbrowska zna t.zw. niepoprawnie „psychologję podświadomości", a którą poprawnie nazwaćby chyba należało „psychologją świadomości bezładnej": zna te wszystkie niespodziewane i niepojęte dywersje uczuć, wyobraźni, popędów, myślenia, ten żywioł w psychice, niedostosowany do naszej normalnej logiki i naszych wartościowych przyzwyczajeń, zna nieracjonalność „potoku świadomości" i enigmaty snów groźnych, coś mówiących, ale niewiadomo co, — i te, jakby automatyczne, wykolejenia konduity. Ale nie zatapia czytelnika w tych aktualjach psychicznych, główna jej narracja psychologiczna pozostaje w dziedzinie normalnej hierachji życiowej psychologji: opowiada nam, czego ci ludzie jakoś trwale chcą, nad czem rozmyślają, jak się zachowują, w takich sytuacjach i zagadnieniach życiowych, jakie dla ludzi umysłowo normalnych są

ważne i zrozumiałe; nawet jej typy z pogranicza psychozy psychotyczne są w moralnym raczej niż biologicznym sensie: zachowują się przykro, ale ich linja życiowa nie jest jakimś niepojętym chaosem odruchów — chaosem tak lubym literackiemu ekspresjonizmowi, który, słusznie odsłaniając paradoksy psychiki bezładnej, grzeszy jednak przesadą, bo *de facto*, pominąwszy stany szału oraz całkowitego rozpadu psychicznego, nawet warjat i manjak ma swoją trwałą linję postępowania i myślenia, swoją logikę, często aż nazbyt rygorystyczną, która przeraża, ale którą człowiek umysłowo uporządkowany może ostatecznie jakoś pojąć. Psychologja Dąbrowskiej jest realistyczna i dlatego — tak instruktywna.

(D. c. n.) KAROL LUDWIK KONIŃSKI

Z TEKI POŚMIERTNEJ

Przed rokiem, przeżywszy lat 75, zmarł w Warszawie ś. p. Zygmunt Pietkiewicz, (1859 — 1934), wybitny pisarz, zarówno w zakresie beletrystyki, jak i w dziedzinie naukowej (opracował m. in. Tablice fenologiczne flory ukraińskiej, ogłoszone drukiem w r. 1924, dłuższy życiorys Fr. Quesneya, jako przedmowę do wydanego w r. 1928 wyboru jego pism i t. d.). Nowele i większe utwory powieściowe publikował — przeważnie w ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia — w „Głosie", „Prawdzie", „Ateneum" i in. Początkowo pozytywista, skłaniał się następnie ku mistycyzmowi („Dzień-widmo", „Tak mówił smutek"), by pod koniec życia zbliżyć się do poglądu na świat katolickiego i narodowego. Pozostawił bogatą puściznę rękopiśmienną, przygotowywaną obecnie do zbiorowego wydania, z której — dzięki uprzejmości Rodziny — zamieszczamy dwa krótkie urywki.

ZAJRZYJCIE w serca swoje. W psychometryczny sposób — jak dzisiaj w pracowniach uczonych badana jest wasza „dusza" — zbadajcie, jak biją wasze serca, gdy przemawiacie do bliźnich w pierwszej lub drugiej osobie, albo gdy do was ktoś przemawia w tychże osobach, i porównajcie, jak one wam biją, gdy o was mówią inni w osobie trzeciej.

Gdy do was mówią w osobie pierwszej lub drugiej, z sercami waszemi dzieje się to samo, co się z niemi dzieje, gdy po dniach słotnych i chmurnych niebo rozjaśni się naraz i słońce nagle zaświeci, albo też gdy w nocnych ciemnościach pokoju raptem zapłoną lampy lub świece. Serca wasze biją — żywiej...

Gdy mówicie o „kimś" lub o „czemś" w trzeciej osobie i czasie przeszłym, zdaje się wam, że „kogoś", że „coś" krzywdzicie — mimo uczucia przyjaźni.

Albowiem nieobecność i forma jej — „osoba trzecia" — wywołują skłonność ku sądzeniu. Człowiek z istoty swej — nie zawsze tylko zdając sobie sprawę z tego — spragniony jest obecności i pełni zjawiska świata tak dalece, że w braku jej nadrabia sądem. Sąd przeto staje się u niego lichem zastępstwem tryskającej życiem i imponującej bezpośredniością — jawy. Upiory nieobecności — przy słabej pamięci i braku kultury pamięci — obsiadają sumienie i kuszą do sądu. Tak więc przez osobę trzecią, w którą rozłąka duchowa lub przestrzenna zaczarowuje cośkolwiek, nikłym sercom i pustym głowom ściele się bity gościniec sądu...

Tak jest z jednostką i tak jest z narodem, gdy się zapomną w przedmiocie, zawieszając w nim swe dzieje. Wszak przedmiot to właśnie „osoba trzecia", w którą dajemy się zakląć ja, albo ty, albo my wszyscy społem — my, cały nasz naród — przez samozapomnienie i dajemy się skazywać na nieobecność, na nieprzytomność, by stawał się sąd, samosąd, albo sąd obcy. By panowało nad nami szatańskie prawo illizmu, które jest prawem „osoby trzeciej" przeciw prawu Bożemu osoby pierwszej i drugiej, które patrzą w słoneczną twarz życia i Boga — gdy osoba trzecia, jak człowiek zaczarowany i przeklęty, w ciemność nicestwa sądu patrzy ślepotą idei, którą opuściła jej Matka-Pamięć — dusza.

Narodzie, mocarzu wciąż jeszcze zaklęty lękiem, przebudź się naprawdę, przypomnij siebie wgłąb wszystkich swych pokoleń i wieków i przebudzając świat somnambulików europejskich, — który ciągle jeszcze, jak za czasów twego Grzegorza z Sanoka trwa w *somnium vigilantium*, śnie czuwających — dźwignij się na cały wzrost swej przytomności dziejowej i jaw mu się, jako dawny wielki i śmiały Radodziej.

Wszak sam byt swój odwieczny nazywasz nie z grecka „historją", co znaczy przyzostałość — brzemię zbędne i zawada — lecz czynem wciąż od praojców stającym się, to jest — dziejami.

(Urywek z „*Vae absentibus!*", utworu filozoficznego, pisanego w latach 1912 — 1928).

— — — — — — — — — — — —

O, słońce moje...

...Ty promieniami — które całują okna i ściany dalekiej świątyni naszej w olbrzymiej samotni stepu cichego, gdzie anioły milczenia i pamięci przechadzają się i modlą o czystość serc ludzkich — padasz na żółte mury kamienicy miejskiej, na mury więzienia naszego, niegodne Ciebie!...

O, wiosno, Ty rodem jesteś tylko ze wsi, z łona Przyrody, nie z miasta — i do miast trujących, miast przejadowitych i złośliwych, które zatruwają wieś, przychodzisz ze wsi od ludu bożego!

W Polsce sielskiej o wielkiej i nieskażonej piersi, tchnącej cichą i świętą myślą, szeroką jak pierś, było ongi wszystko anielskie — i lud był boży, bo żadna istota na łonie przyrody nie może być złą, ale, jak to teraz się dzieje, tylko otrutą i skażoną przez miasta, żyjące w piekielnym niepokoju bezbożnym...

(Fragment z notatnika 1.IV.1924 r.).

ZYGMUNT PIETKIEWICZ

NA WIDOWNI

Elementarz i kłopoty maturzystki. — „Aktualizacja" w wychowaniu. — Jej niebezpieczeństwa. — Czy istotnie „zapatrzyliśmy się w przeszłość". — Przygoda z sarkofagiem Czarnieckiego.

PRZED kilku dniami odwiedzałem mego chrzestnego syna, siedmioletniego malca, który dumny z tego, że niedawno został przyjęty do szkoły, rozłożył przedemną swoje książki: czytanki, elementarze itp. Oglądałem je z rosnącem zaciekawieniem, coraz wyraźniej bowiem zaczynałem sobie uświadamiać pewną ich cechę, wspólną wszystkim, a nadzwyczaj z wielu względów znamienną. Zauważyłem mianowicie, że wszystko, o czemkolwiek się tam pisze, zawsze odnosi się jedynie do zdarzeń i stosunków obecnych, wszystko jakgdyby koncentruje się na czasie teraźniejszym, na nim wyłącznie skupiając całe zaciekawienie i o nim, tylko o nim informując. Wtedy nawet, kiedy sam temat zmusza — zdawałoby się — do zatrącenia o wspomnienia przeszłości, myśl pedagoga nie wydostaje się poza ramki dnia dzisiejszego. Oto np. rycina w elementarzu, przedstawiająca widok Zamku królewskiego w Warszawie. Pod spodem pół stronicy tekstu: To jest Zamek. W Zamku mieszka Pan Prezydent. Wszystkie dzieci kochają Pana Prezydenta itd. O tem, że Zamek ten był przez wieki mieszkaniem polskich królów, nie wspomina autor czytanek ani słowem. A to przecież dodawałoby chyba tylko splendoru...

Tak jest u początku nauki szkolnej, nieinaczej u jej końca. Niedawno, kiedym był u jednego z przyjaciół, córka jego, właśnie sposobiąca się do matury, nagle zwraca się do mnie, pytając z przejęciem: — „W którym roku i w którym miesiącu mianowano gabinet Świtalskiego?" — „Miły Boże — wykrzykuję ze zdumieniem — a na co to pannie Marysi potrzebne?" — „Jutro mamy klasówkę z historji współczesnej... Teraz w szkole ciągle tak, proszę pana: a to o reformie walutowej, a to znowu o Abisynji... Tylko siedź i siedź człowiecze nad gazetami!... Nawet książki nie ma się już czasu wziąć do ręki"...

Aktualizacja!... Oto idea, która w ostatnich latach zapanowała w całym naszym systemie wychowawczym. Zarabiają na niej nieźle przemyślni literaci, zastępując usuwane z „wypisów szkolnych" dzieła autorów dawniejszych „współczesnemi" bardziej tworami własnego pióra. W imię tej idei włącza się do obowiązującej lektury jednorocznym sukcesem cieszące się nowości beletrystyczne, podczas kiedy pisarze o wartościach trwałych, pisarze znakomici, nie są nieraz znani młodszemu pokoleniu nawet i z nazwiska.

Hasła: „Należy szkołę zbliżyć do życia", „Należy wiedzę szkolną związać jaknajściślej z dniem dzisiejszym!" — powtarzane są tak powszechnie i z takiem przekonaniem, iż wydają się jakby stwierdzaniem jakiejś bezwzględnej, nie dającej się zaprzeczyć prawdy. Mówi się, że szkoła musi wychowywać ludzi „dla życia", nie zaś odrywać od niego i oddalać, a wobec tego w programie swoim jaknajwięcej miejsca powinna poświęcać zagadnieniom aktualnym, t. j. tym właśnie, ku których należytemu zrozumieniu ma przedewszystkiem obowiązek młode generacje przygotować. Czy jednakże nie tkwi w tem rozumowaniu błąd logiczny i czy nie wiedzie do fałszywych i—co więcej—szkodliwych bardzo wniosków? Niewątpliwie, należy edukować młodzież w ten sposób, aby umiała ogarnąć myślą rzeczywistość doby współczesnej, ale czyż nieraz, chcąc ogarnąć wzrokiem jakąś budowlę, nie jest konieczne odsunąć się od niej o kilka kroków i popatrzeć z perspektywy nieco dalszej, aby dostrzec właściwe jej proporcje?

Do truizmów należy twierdzenie, że chcąc poznać jakiś układ stosunków społecznych, jakąś instytucję — trzeba studjować je nietylko w ich stanie teraźniejszym, ale również w ich rozwoju historycznym, zbadać ich początki, ich genezę. W praktyce wszakże bliższe zżycie się z przeszłością swojego narodu niezbędne jest nietyle nawet w celu wytłumaczenia sobie pewnych zjawisk obecnych, ile — przedewszystkiem — dla ich oceny.

Naród, posiadający wielką tradycję dziejową i nią żyjący, ma w niej zarazem miarę właściwą przy sprawdzaniu wartości swych aktualnych „osiągnięć", ma, niejako, wyznaczoną drogę własną, może orjentować się, czy z niej nie zbacza. Tylko taki naród ma dla twórczości swej, politycznej i kulturalnej kryterja w sobie samym, nie zaś w chwytanych na chybi-trafi, importowanych, modnych „ideologjach". Tylko taki nie jest bierną masą, która daje się popychać, gdzie kto zechce, ale istotnym, odpowiedzialnym organizatorem własnego życia. Tego dorobiliśmy się przez tysiąc lat świadomego, historycznego bytu, — i tem różnimy się od Boliwji czy Paragwaju, od Łotwy czy od Estonji. Czemuż trwonić to bogactwo, urabiać w sobie psychikę społeczeństwa, które nie ma przeszłości, czemuż się tak dobrowolnie — degradować?

Pokolenie, wychowujące się w ostatnich latach przed wojną światową, uległo złudzeniu, że jesteśmy jakoby zapatrzeni wyłącznie w chwałę dawnych wieków, że należy zerwać z tą jednostronnością, zwrócić oczy ku chwili teraźniejszej i t. p. Źle zrozumiane protesty Wyspiańskiego przeciwko „poezji grobów" niemało przyczyniły się do rozpowszechnienia tego błędnego całkiem mniemania. W rzeczywistości, w żadnym chyba wielkim narodzie europejskim znajomość historji własnej nie przedstawia się w sposób, bardziej niż u nas, opłakany. Wystarczy pomówić z przeciętnym inteligentem dzisiejszym, aby przekonać się, jak gorsząca lekkomyślność sądów i jak powszechna panuje ignorancja w tym zakresie. A tak, dyskretnie bardzo, na ucho zapytajmy: wielu najwyższych dygnitarzy państwowych, wielu akademików literatury potrafiłoby bez omyłki wyrecytować poczet królów polskich, albo nie zawahałoby się przy wymienianiu dat najbardziej przełomowych w dziejach naszych wydarzeń?

Nawet wówczas, kiedy istnieje poczciwa chęć okazania pietyzmu wobec zasług przodków, nieuctwo częstokroć zamienia ją tylko w zabawną — i przykrą zarazem — kompromitację. Tak np. przed kilku miesiącami Komitet Propagandy Czynu Polskiego (przewodniczy mu, o ile pamiętam, b. rektor Michałowicz) ufundował w kościele w Czarncy nowy, ozdobny grobowiec Stefanowi Czarnieckiemu, jako „hołd w 270 rocznicę zgonu". Na kamiennej tumbie wyryto napis: STEFAN CZARNIECKI WIELKI HETMAN KORONNY. Zdobyto się więc na koszt, na wysiłek organizacyjny,

ale jakoś nie pofatygowano się dowiedzieć, że ten, któremu pomnik stawiano — starosta tykociński, wojewoda ruski — nigdy wielkim hetmanem koronnym nie był, i że nawet małą, polną buławę ofiarowano mu dopiero na łożu śmierci. (*Curiosum* to: fotografję sarkofagu z przytoczonym wyżej napisem oglądać można w „Pionie", nr. 39 z dn. 28.IX r. b. Tamże *in extenso* odezwa Komitetu, zakończona słowami: „Dlatego też postać Hetmana i jego wiekopomne czyny są nam bliskie...")

Zatem: „Historyki koniecznie czytaj..." — jak zalecał hetman Stanisław Żółkiewski w pouczeniu testamentowem dla syna — „w biegu spraw siłam się tem ratował, żem przeszłych wieków sprawy wiedział". Bliższe zżycie się z dziejami ojczystemi przyda się i dla starszych i dla młodszych.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

ZA SPRAWY NARODOWE. Redakcja „Myśli Narodowej" otrzymuje takie listy:

„Niniejszem uprzejmie donoszę Szanownej Redakcji, że muszę zaniechać abonowania pisma, ponieważ mąż mój przebywa obecnie w więzieniu za sprawy narodowe i dłuższy czas już nie zarobkuje..."

List podpisuje matka rodziny, pozostawionej bez chleba. Człowiek wpatruje się w ten list z dotkliwem uczuciem bólu. Myśl z otępieniem szuka we wspomnieniach analogij. Czytywało się podobne motywy niedoli w Warszawie w zeszłym wieku.

Niedola nigdy nie opuszcza padołu ludzkiego. Ale dlaczego Polak w r. 1935 musi ją tak motywować: „za sprawy narodowe"? Jakaż to udręka dla serca patrjotycznego, gdy ręka kreślić musi te ciężkie słowa! Niczem niedola sama wobec tego motywu: „za sprawy narodowe".

Czasy tak zasadniczo odmieniły przez lat dwadzieścia poczucie praw i niebezpieczeństw, że jeden tylko motyw analogiczny może być dla Polaka dzisiaj zrozumiały: „za sprawy anty-narodowe". Odwrotny motyw jest już anachronizmem i to tragicznym.

Czas wyjść z tego kręgu dantejskiego!

WALKA O SCHEDĘ PO NORWIDZIE wzięła nareszcie właściwy obrót w wydziale cywilnym Sądu Okręgowego w Warszawie. Znany jest czytelnikom przebieg sprawy w wydziale karnym, gdzie T. Piniego, który po upływie 50-lecia praw autorskich dzieła Norwida wydał, skazano na pokutne, nie uwzględniono jednak żądaniu konfiskaty i zagłady wydania Piniego.

Pozywającymi byli: Zenon Przesmycki (Miriam) i spólnicy: Wellisz oraz Mortkowiczowa. Chodziło im właśnie o zniszczenie konkurencyjnego towaru, dlatego wytoczyli sprawę przed sąd cywilny, ponawiając w tej drodze żądanie.

Sąd cywilny w dn. 29 listopada sprawę rozstrzygnął, postanawiając pozew p. Przesmyckiego (Miriama) i towarzyszy oddalić oraz zasądzić od powodów na rzecz firmy „Parnas Polski" zł. 333.— tytułem kosztów prowadzenia sprawy, a postanowienie o zabezpieczeniu pozwu przez wydanie tymczasowego zarządzenia uchylić.

W uzasadnieniu Sąd Okręgowy, powołując się na przepisy prawa, autorskiego stwierdza:

Należy uznać, że prawa autorskie do dzieł Cyprjana Norwida wygasły, że dzieła Norwida stały się własnością narodu, a powód Przesmycki (Miriam), nie mając prawa autorskiego do dzieł Cyprjana Norwida, nie ma legitymacji czynnej, gdyż Marja Łempicka tylko upoważniła Przesmyckiego (Miriama) do wydania dzieł, a nie przelała na niego praw autorskich Norwida, dzieci zaś jej, t. j. Marji Łempickiej, w myśl art. 24 i 39 o prawie autorskiem, nie są dziedzicami tych praw, a nadewszystko przelewają te prawa na Przesmyckiego (Miriama) dn. 14 listopada 1934 r., kiedy prawa te już wygasły, że Przesmycki (Miriam) nie może rościć sobie praw do tekstów Norwida jako do *editio princeps* Norwida, że utworów Przesmyckiego (Miriama) pozwana firma nie drukowała, co jest niesporne, że wobec uznania pozwu za niewiarogodny, nie może zostać w mocy postanowienie o zabezpieczeniu tegoż pozwu, że z tych wszystkich powodów sąd postanowił pozew p. Przesmyckiego (Miriama) i innych oddalić oraz zasądzić koszta sporu".

Może więc nareszcie po tym wyroku Cyprjan Norwid wyjdzie na wolność, oswobodzon z pod uzurpacji b. ministrów kultury i sztuki.

OD WYDAWNICTWA

Przed dwoma tygodniami załączyliśmy do numeru przekazy w celu przypomnienia czytelnikom „Myśli Narodowej", że **czas odnowić przedpłatę na rok 1936.**

Zapewne doszło już do świadomości każdego głoszone coraz szerzej i żywiej hasło jednoczenia się ludzi jednomyślnych w sprawie narodowej. Gdy tak zależy na organizowaniu opinji publicznej, to pierwszą rzeczą jest popieranie organów prasy narodowej.

„Myśl Narodowa", mając za sobą dziesięć roczników, nie potrzebuje chyba ogłaszać prospektem na rok jedenasty swego istnienia. Przypomina tylko o terminie odnowienia przedpłaty, gdy nowy rok się zbliża.

Nie wątpimy, że czytelnicy, złączeni z pismem wspólnością duchową, potrzebę jego istnienia i rozwoju uważają za niezbędną i wszelkiemi siłami pomogą do przetrwania ciężkich warunków, w jakich się znalazły wszystkie prace kulturalne. Zły to byłby rachunek, gdybyśmy na prenumeracie pisma, urabiającego naszą ideologję, chcieli robić oszczędności.

Upraszamy gorąco przyjaciół naszych, aby wcześnie odnowili przedpłatę (ile możności na rok lub na parę kwartałów zgóry) i zachęcali znajomych do zaznajomienia się z „Myślą Narodową".

ZAUNIUS

OTO najbardziej interesujące nazwisko, które wypłynęło na widownię z referatu sądowego podczas toczącego się obecnie procesu przeciwko terrorystom ukraińskim. Referat sądowy, ujawnia, że dr. Zaunius, doniedawna litewski minister spraw zagranicznych, był w ścisłych stosunkach z przywódcami terrorystów ukraińskich, zapewne zasilał ich też z tajnych funduszów dyspozycyjnych.

Ale kto zacz jest Zaunius? Otóż najciekawsze to, że Zaunius urodził się w Prusach Wschodnich i wtedy nazywał się z niemiecka Saun. Był oficerem niemieckiego sztabu generalnego. Podczas wojny światowej znalazł się w jakiejś tajnej misji politycznej w Belgji. Pod koniec wojny zjawił się na Litwie i był w bliskich stosunkach z „Tarybą", tym *ersatz* rządem litewskim, spreparowanym przez Ober-Ost. Zaczyna być dobrze widziany wśród wpływowych sferlitewskich. Gdy się wojna kończy, zmienia nazwisko niemieckie Saun na litewskie — Zaunius i... zostaje litewskim ministrem spraw zagranicznych. Po wojnie obserwowaliśmy wiele takich karjer bajecznych.

Oczywiście Saun — Zaunius miał grunt dobrze przygotowany. Komórka bowiem wywiadu niemieckiego, założona w r. 1917 w Wilnie przez lejtnanta Glecklera i Stiglitza, w r. 1919 już pracuje w Kownie. Oficer niemiecki Gleckler kieruje litewskim oddziałem wywiadowczym, aby zaś Glecklera zamaskować, litewski minister spraw wewnętrznych mianuje go szefem policji kryminalnej. A inny znów oficer wywiadu niemieckiego, niejaki Heer, w porozumieniu z Zauniusem, ministrem spraw zagr., urzędował w Kownie... jako inżynier przemysłu elektrotechnicznego.

Cały wogóle oddział wywiadu litewskiego został poddany kierownictwu z Berlina, a instruktorami i kierownikami są oficerowie niemieccy. Nawet litewski związek strzelecki zreformowano według instrukcyj berlińskich. Na czele tajnej grupy strzelców litewskich (szaulisów) stanął von der Lai, oficer generalnego sztabu niemieckiego. Zaunius, litewski minister spraw zagranicznych, który jeszcze w czasie wojny światowej nazywał się Saun i był oficerem sztabowym niemieckim do tajnych poruczeń, a jak się teraz okazuje będący także w ścisłych stosunkach z terrorystami ukraińskimi, działającymi na szkodę Polski, miał wokół siebie całkiem dobrane towarzystwo. Pamiętać tylko trzeba, że grali oni wszyscy role według reżyserji zgóry uplanowanej.

Nie od rzeczy będzie przypomnieć rewalacje Krysiaka, ogłoszone w drugiej połowie 1913 r., a zaczerpnięte z tajnych archiwów „*Ostmarkenverein*", i stwierdzające, że od roku 1903 istniał ścisły stosunek między organizacją hakatystyczną a galicyjskim „Ruskiem Komitetem Narodowym". Tej organizacji rusińskiej Hakata (*Ostmarkenverein*) dała fundusze na popieranie ruchu antypolskiego w Galicji i jątrzenie między pobratymczemi ludami.

Litwini zostali przez polipa oplątani w czasie wojny. Duszą się do dziś. Zdajemy sobie przecie sprawę, dlaczego litewski minister spraw zagranicznych Saun-Zaunius podsycał terrorystów ukraińskich przeciw Polsce i dlaczego do dziś niema porozumienia między Polską a Litwą, między narodem polskim i litewskim.

NAUKA i LITERATURA

„CHÓR WIEKÓW"

BARDZO ładną księgę wydała na gwiazdkę księgarnia Św. Wojciecha: antologję polskiej poezji religijnej pod tytułem „Chór wieków". Ks. arcybiskup Teodorowicz, który tej antologji w przedmowie pobłogosławił, słusznie zauważył: „Dziw, że dopiero teraz powstała". Bo istotnie to dziwne, że trudno spotkać się w przeglądach polskiej twórczości literackiej z aspektem na poezję religijną. Jakby kto interesował się górami ze względu na dobre stoki, nie widząc szczytów.

Księga powstała z inicjatywy i staraniem grona literatów: Wandy Miłaszewskiej, Stanisława Miłaszewskiego i Jana Rembielińskiego. Ich koncepcję i wykonanie ks. arc. Teodorowicz nazwał, podobnie jak zebrane poezje, dziełem natchnienia religijnego. Redaktorzy zbioru nie zamierzali wyodrębniać jakiejś jednej grupy pisarzy katolickich, uważali natomiast za swoje zadanie uwydatnić, jak dalece cała poezja polska jest z ducha swego katolicka. Są tutaj pisarze z programów swoich, nawet z wyznania, nie kwalifikowani jako katolicy prawowierni, a przecież są z kultury katolikami.

Pierwszą zasadą kompozycyjną antologji było ograniczenie jej do dziedziny sztuki w tem znaczeniu, że wybierano utwory według kryterjów wartości artystycznej. Książka tedy nie ma charakteru ani podręcznikowego (z zakresu historji literatury), ani modlitewnego, jak śpiewniki. Jest to książka czysto literacka.

Materjał ugrupowano według kalendarza liturgicznego, poczynając od adwentu. W każdej zaś grupie przemieszano umyślnie utwory z różnych epok, przez co osiąga się na rzut oka dowód jedności duszy polskiej i dawności kultury. Nie ograniczano się przytem modlitwą i eschatolologją; zupełnie po katolicku postępując, włączono to, co z życia czerpał poeta, uwydatniając jego pełnię uduchowienia chrześcijańskiego w obrzędach i obyczajach.

Literatura, jako chór wieków, śpiewający rozłożone na głosy motywy samowiedzy zbiorowej, mogłaby nas przyprawić o zwątpienie, czy jesteśmy narodem, gdyby w jej tonach najwyższych nie dźwięczała nuta religijna.

Życie narodu tem różni się od życia innych związków społecznych, że spoczywa na osi metafizycznej, której początek i koniec dzierży Bóg. Nie pełny byłby ton natchnień poetyckich, któryby poczucia tego faktu nie wyrażał. To poczucie szuka nadewszystko wyrazu zwłaszcza w momentach dziejowych, decydujących o bycie narodu, w chwilach, kiedy człowiek gotów jest krew swą oddać za to, by naród żył.

To też słusznie uczynili wydawcy, że księgę zamknęli strofami poezji rycerskiej w osobnym dziale „Aniołowie i żołnierze".

Chodkiewicz — według Wacława Potockiego — w przemowie do wojska przed bitwą Chocimską użył takiego zwrotu: „A Ty, o wielki Boże, który jednem słowem wodzisz wojsk milijony, przeto obozowym Panem słusznie się zowiesz". Konfederata Barski śpiewał Bogu swoją ochotę rycerską: „Śmierć Zbawcy stoi za pobudki hasło". „Boć nie nowina Maryi puklerzem zastawiać Polskę". A najmłodszy z rycerzy, Józef Mączka (1918) przysięgał, że go nic nie złamie, „gdy przyjdzie krwawej dopełnić ofiary":

„Przysięgam Tobie na anielski huf,
Gwiazdy na niebie i słońce w błękicie...
Przysięgam Tobie na duszę i Boga —
O ukochanie najczystszych mych snów
— Ojczyzno droga!"

Dusza narodu, cała w akordach ziemi i nieba, wypowiadać sie musi religijnie, a pieśń jej, podawana echem, od

przodków idzie chórem wieków w nieskończoną przyszłość. Hołdem dla tych, co nadawali tej poezji wiecznotrwałą formę artystyczną, jest antologja niniejsza. Hołdem narodowi, który tę poezję zrodził, hołdem Bogu, któremu naród w opiekę się podał.

Dodać należy, że wykonanie dobrze obmyślanego wydawnictwa wypadło znakomicie. Książka (zawierająca stron XII i 447) dogadza najwybredniejszym wymaganiom bibliofilskim. Robocie zaś redakcyjnej dopisało nietylko natchnienie dobrego pomysłu, ale, co ważne, dopisały umiejętność wykonawcza, erudycja, dobry smak i staranność.

Z. W.

„SIOSTRY" AL. TOŁSTOJA

WŁAŚNIE DZISIAJ — niech nas to bynajmniej nie dziwi! — przychodzi czas na napisanie epopei o Wielkiej Wojnie. Dziś, gdyż podobno to dopiero, co w życiu umarło, ożyje w pieśni, dzieje zaś niedawne strasznego kataklizmu bledną i w cień niepamięci się zasuwają w obliczu nowych, złowróżbnych znaków na niebie i na ziemi...

Rzecz nie do wiary, z pośród walczących narodów, żaden chyba w ten sposób, t. zn. w homeryckim rytmie nie oddał należnego danku bohaterom, nie przekazał, w formie godnej surowego wdzięku pieśni gminnej, męstwa i śmierci... Miljona.

Co dziwniejsza, może najszerszym oddechem eposu tchnie nowa powieść rosyjska, twórczość, wyrosła na zgliszczach przeszłości, przemocą od niej odrywana. Silniejsza snać jest mądrość instynktu i głos krwi od doktryny.

„Siostry" (część pierwsza trylogji — „Droga przez mękę". Warszawa 1935. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Autoryzowany przekład Władysława Broniewskiego, str. 386) Aleksego Tołstoja, bratanka słynnego autora „Wojny i pokoju" — po „Piotrze Wielkim" — służą temu zawołaniu, które za *motto* wziął nasz powieściopisarz: „O, Ziemio Rosyjska!" („Słowo o pułku Igora").

Potrzeba żywiołowej, ale i zdyscyplinowanej wiary w naród, do tego, aby w chwili klęski nie zwątpić o nim, pośrednio zaś i o własnym sensie istnienia.

Niejeden Rosjanin znalazł się zapewne w ciężkim momencie próby, patrząc na sromotną ucieczkę żołnierzy z frontu, który w 1917 r. dosłownie sam się rozlazł, otwierając drogę do wnętrza kraju armjom nieprzyjacielskim.

A później przyszły lata chaosu, w którym jedynie uparta dobra wola mogła się dopatrzeć ziarn, zdolnych zapłodnić przyszłość.

Wtedy w grę weszło przezwyciężenie wstrętu do obcego i wrogiego porządku, ściśle — do „zorganizowanej żelazną dyscypliną, świętej anarchji", która jest niczem innem, jak tyranją „stepu". I tu na „starorežimcu" aż skóra się jeży, zresztą i na widok małości i dekadencji tych, co dopuścili do „października".

Dziś Aleksy Tołstoj, oficjalnie „nawrócony", popularny pisarz sowiecki — w każdym bądź razie conajmniej „poputczyk" — godnie jednakże podtrzymuje świetne tradycje rosyjskiej powieści historycznej. Jego dzieła są niecodziennem zjawiskiem epiki w literaturze europejskiej.

W „Siostrach" dźwięczy jeden, typowo słowiański ton, motyw pełen szczególnego, tajemniczego uroku: mam na myśli swoisty mesjanizm, którego elementów można się tutaj dopatrzeć, zwłaszcza w mistycznej wierze, iż klęski wojenne są karą i zbawiennem oczyszczeniem dla zagrzęzłej w materjalizmie i obojętności Rosji, a wróg — tylko narzędziem pomsty Bożej. Jakże niedaleko znajduje się Tołstoj od Bierdiajewa i Mereżkowskiego!

Dzieje spełniają się poprzez życie jednostek, w powieści interesują nas losy bohaterów: w danym wypadku — pomijając ubocznie postawiony problem psychologiczny... dwu sióstr — mamy do czynienia z najbardziej klasycznym romansem, mieszczącym i, potrzebne dla kontrastu, tło wzgardzonej miłości i perypetje-przeszkody i — wreszcie szczęśliwy finał.

I tutaj — para: Iwan i Dasza niekiedy przypominają Skrzetuskiego i Helenę.

Zato, z innej zupełnie beczki, bolszewicka djalektyka Żadowa stale przywodzi na pamięć podobną kazuistykę prawa dżungli u Wierchowieńskiego.

Przekład p. Wł. Broniewskiego ortodoksyjnie rosyjski, nie powiem, bolszewicki, choć b ó g (stale przez małą literę) zasłużył sobie na dobrą notę Wcik'a.

(Państwo rozumieją, przekład musi być wierny, nawet interpunkcja, cóż dopiero, gdy... Spodziewany efekt: ktoś z „bogoojczyźniaków" nad tem szaty rozedrze).

ES.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Przed kilku dniami ukazała się nowa książka Zbigniewa Krasnowskiego p. t. „Socjalizm, komunizm, anarchizm" (Warszawa 1936, str. 222). Dzieło to jest dalszym ciągiem, uzupełnieniem i wzbogaceniem szeregiem nowych oświetleń i dokumentów — „Światowej polityki żydowskiej", ogłoszonej w r. 1934. Stanowiąc samo przez się całość odrębną — w ramach zakreślonych swoim tytułem — jest równocześnie jakgdyby drugim tomem, na nowych i bogatszych jeszcze materjałach opartym, wymienionej publikacji.

Autor—podobnie jak w poprzedniej książce—oparł się tu wyłącznie na informacjach żydowskich, wyciągach z pism, odczytów, przemówień, artykułów dziennikarskich najwybitniejszych przedstawicieli żydostwa światowego, zawsze z najdokładniejszem wskazaniem źródła, skąd wzięte są poszczególne cytaty. Nadaje to pracy niniejszej — tak cenny i pożądany w tym wypadku—charakter naukowej, poprostu, ścisłości i objektywizmu.

Życzliwość, z jaką „Światowa polityka żydowska" spotkała się pośród licznych rzesz czytelniczych, pozwala żywić nadzieję, że i ta następna książka Z. Krasnowskiego spełni swoje zadanie, informując i oświecając opinię polską w tych tak doniosłych dla narodu naszego sprawach.

*

Niezbyt obfitą literaturę polityczną zbogaciła pięknie napisana rozprawa Tadeusza Glużińskiego: „Odrodzenie idealizmu politycznego" (Warszawa 1935. Dom Książki Polskiej. Str. 174).

Książka rozpada się na dwie części: 1) Tytuł moralny władzy (Ruch narodowy i nacjonalizm, Naród i państwo, Rządy demokratyczne, Rządzący i rządzeni, Hierarchja a wolność osobista) i 2) Etyka w życiu publicznem (Polityka a etyka, Idea i doktryna, Wiedza i polityka, Instynkty osiadłości, Prawo wobec etyki i obyczajów, Wychowanie publiczne).

Wykłady tego rodzaju, pomocne do ustalenia w umysłach podstawowych zasad myślenia narodowego, bardzo są u nas potrzebne, choćby nawet w szczegółach wykazywały pewne między sobą różnice w poglądach. Autorem tej książki powoduje szlachetna dążność do odrodzenia stosunków społecznych i kulturalnych przez nawrót do idealizmu. Wiele oczekuje od czasów, które nadchodzą, dostrzega nawet, że już wiele się zmieniło.

„Świat 18 i 19 wieku sam doprowadził się do absurdu. Świat chrześcijański zatoczył się pod ciężarem wyników, do jakich doprowadziły ponętne doktryny". Od modnego, przyprawionego ironją, sceptycyzmu doszliśmy do rzeczywistości, zaprawionej tragizmem lub cynizmem. Całe szczęście — utrzymuje autor — że przyszły wstrząsy, pod których działaniem rozpadły się chore nadbudówki doktryn i złych obyczajów i odsłoniły się pokłady zdrowych instynktów. Cywilizacja chrześcijańska reaguje, to właśnie sprawia, że w tej reakcji żydzi siłą rzeczy wyrzucani są z życia społeczeństw chrześcijańskich poza nawias nowego ruchu etycznego i umysłowego.

Że autor wypatrzył w życiu oznaki tego zwrotu i umiał je sformułować, już to samo dobrze zaleca jego rozprawę.

*

W dniach najbliższych, nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, wyjdzie powieść jednego z b. wieloletnich przywódców młodego pokolenia, Janusza Ralskiego pt. „Alma mater", poświęcona życiu młodzieży akademickiej w Polsce odrodzonej.

*

Nadesłano nam z Poznania wydany nakładem „Orędownika“ tom poezyj Konstantego Dobrzyńskiego p. t. „Czarna Poezja“. Autor, doniedawna robotnik łódzki— jak to określa w przedmowie do jego książki dr. Marjan Seyda — jest to „młody, jędrny, z rdzennie polskiego ducha zrodzony talent poetycki o bujnej wyobraźni, porywającym polocie, uderzającej sile wyrazu i niezwykłem — jak na skromne warunki, w których wzrósł — bogactwie języka i opanowaniu kształtu literackiego“.

Zbiór poezyj Dobrzyńskiego składa się z pięciu cyklów: „Usta na gwiazdach“ (liryki), „Łódź“, „Czarna Poezja“ (wiersze, poświęcone robotnikowi), „Dłonie ku niebu“ (utwory o charakterze religijnym), oraz „W nowy idziemy Polski świt“ (cykl narodowy).

Całość obejmuje 132 strony na dobrym papierze z okładką, wykonaną przez znanego grafika Boratyńskiego. Cena książki wynosi zaledwie 1 zł. 80 gr.

Poezje Dobrzyńskiego winny znaleźć się na stole każdej rodziny polskiej.

*

„Co Polska daje Palestynie i co od niej bierze” — oto jest pytanie, na które usiłuje odpowiedzieć w swej broszurze Samuel Stendig (Samuel Stendig: „Polska a Palestyna w dobie obecnej“, Warszawa 1935. Str. 46).

Polska daje Palestynie całkowite poparcie rządu, komitet społeczny „Pro-Palestina“, propagandę w prasie, stałą komunikację okrętową, P. K. O. w Tel-Awiwie i t. d. i t. d. Autor wylicza sumiennie liczne objawy zrozumiałego zainteresowania Polski emigracją żydowską do Palestyny.

Co bierze Polska od Palestyny? Narazie drogie pomarańcze jaffskie i „grapefruity“.

Pozatem mamy w żydowskim emigrancie do Palestyny — „naturalnego sojusznika“ naszej ekspansji kolonjalnej, jak twierdzi autor. Więcej nawet: mamy w Palestynie swoją Polonję, która stanowi 1/3 całego palestyńskiego osadnictwa. Chętnie byśmy się wyparli starozakonnej, krzywonosej „Polonji“, ale autor stale podkreśla przywiązanie żydów palestyńskich do swojej „ziemi rodzinnej“ (t. zn. Polski). To stałe przypominanie, że „w Polsce tkwi cała jego (emigranta żydowskiego, przyp. red.) dusza, ona w umyśle jego nie przestała być macierzą, dla jego uczuć pozostała nadal ojczyzną“... może bardzo wzruszać np. p. Hemara, ale nas Polaków, raczej niepokoi.

Obawiamy się, że emigracja do Palestyny jest dla żydów nie repatrjacją w myśl programu prawdziwego syjonizmu, ale taką zwykłą emigracją, z której można powrócić do „macierzy — Polski“.

Ciesząc się z rozwoju Palestyny, a szczególniej z wzrostu emigracji do niej żydów z Polski, chcielibyśmy, ażeby byli oni mniej przywiązani do swej „rodzinnej ziemi“ (Polski), bardziej natomiast — do Palestyny. (J. M.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

DLACZEGO?...

ILEŻ razy zdarzało nam się czytać w czasopismach t. zw. literacko-artystycznych w rubryce p. t. „Z warsztatu naszych pisarzy” nastepujące wyznania:

„Pracuję obecnie nad powieścią, którą ukończę na początku lata. W grudniu wyjdzie u Gebethnera i Wolffa tom moich nowel. W ciągu roku przyszłego napiszę jeszcze dwa utwory sceniczne, oraz książkę dla dzieci”...

Wszystko wie. Wszystko przewidział. Jabym się wstydził... U nas, plastyków (w tym wypadku będę mówił o grafice, bo mi najbliższa) niema tego zwyczaju publicznego przechwalania się tem, co się dopiero ma zrobić. Istnieje nawet tak daleko posunięta wstrzemięźliwość, że przed wystawą kolega koledze niechętnie nowe swe prace pokazuje. Gdy niedawno jedna z moich najbliższych koleżanek naruszyła tę niepisaną tradycję, pokazując mi swoje piękne, jeszcze niewystawiane drzeworyty, uważałem ten jej gest za dowód wielkiego zaufania. Pracujemy milcząc, na gadaninę będzie czas później.

Inaczej sobie poczynają literaci. W czasopismach raz po raz pojawiają się wywiady z byle skrybą, a o najwybitniejszych i zasłużonych plastykach, ich pracy i roli w tworzeniu współczesnej kultury te pisma milczą.

Możnaby sprawę w żart obrócić i powiedzieć, że my także dopominamy się o umieszczanie naszych fotografij w tygodnikach, dlaczego tylko literaci mają mieć przyjemność? Ale rozmiary popularyzowania pewnych zjawisk suggerują miarę ważności tych zjawisk w życiu. W tygodnikach, które w podtytule mają również słowo „artystyczny”, spotykam często tasiemcowe recenzje poezyj. Jakiś, nikomu bliżej nieznany, dziubas napisał 30-sto stronicowy tomik wierszy, a recenzent z całą powagą obrabia go w przydługiej dwuszpaltówce, by w końcu dojść do przekonania, że wiersze są niewiele warte. Jednocześnie roczny trud, naprawdę poważnego i wybitnego artysty-plastyka, doczekuje się zwykle kilkuwierszowej krytyki, w której niesposób, z natury rzeczy, właściwej oceny plastycznego dorobku pomieścić. Chcecie przykładu? Proszę: jedna ze szczególnie zasłużonych dla rozwoju drzeworytu kolorowego graficzek, Krasnodębska-Gardowska, drzeworytniczka na europejską miarę, bierze udział w najbliższej wystawie „Rytu” i pokaże kilkanaście nowych prac. Jeśli ten jej paroletni trud doczeka się w recenzjach 15-wierszowej oceny, to już będzie dobrze.

Podobnym „sądem” nie krzywdziłoby się ani artystki, ani odbiorców jej sztuki, gdyby wykazywał on jakąkolwiek godziwą proporcję wobec miejsca, poświęcanego recenzjom wspomnianych poezyjek. Słuszne jest takie zwracanie uwagi czytelników na literaturę, wtenczas gdy ma wartości niepospolite i odgrywa ważką rolę w budowie kultury. Czy tak jest teraz? Pisarze nieraz już wydawali sąd o rodzaju i ogólnym poziomie współczesnej twórczości literackiej i, niestety, dużo dobrego nie mogli powiedzieć. Gdy literaci sami niewiele mają do powiedzenia, lubią przynajmniej opowiadać o sobie. Zwyczaj ten okazał się zaraźliwy i przeniósł się na ciała zbiorowe. Pisma literackie, bez żadnego skrępowania, drukują, pochlebne dla nich, głosy czytelników i czynią z tych głosów stałą rubryczkę. Gdyby który z plastyków tak zrobił i zaczął cytować zebrane o sobie komplementy?...

Stwarza się złudzenia nietylko ważności, ale i strawności tych lub innych zagadnień. Redaktor tygodnika, gdy mam pisać o sztuce, powiada: „tylko żeby nie było za ciężkie”, a sam nie boi się karmić swoich czytelników kwantami, fachowemi rozważaniami polonistów lub czemś podobnem takiem. Poważniejsze czasopisma nie schlebiają tanim gustom, ale zawsze jeszcze się liczą: to nie chwyci”, a to „pójdzie”. Producent nie pyta się wcale klijentów o zdanie, narzuca im swoje wyroby, a za rok każe się przyzwyczajać do innych, nowych. Jeśli to robi dla dobra własnej kieszeni, to prasa ma tem większe prawo i obowiązek postępować podobnie, gdy czyni to dla kultury czytelników. Przytem mam wrażenie, że podział na tematy interesujące, lub nie, powinno się poddać gruntownej rewizji.

Odsłonięto nowy pomnik, powstał nowy gmach, wykonano dekorację gmachu użyteczności publicznej; „szary człowiek” możeby o tem chciał coś wiedzieć, bo koło tych dzieł plastyki codzień

przechodzi, ale pisma „szarego człowieka", dzienniki, nic mu o tem nie mówią. Recenzenci dzienników muszą w tym czasie recenzować, często zupełnie nieinteresujące, wystawy malarskie, „bo wszyscy już o tem dawno napisali, a my tylko stale się się spóźniamy". Tak im zwykle powiadają redaktorzy[1]).

Ciągle się ludziom wmawia, że rozważania o sztuce użytkowej — to tylko dla specjalistów. Malarz maluje dziś obrazy dla siebie i kolegów, a plastyk robi krzesło dla wszystkich. A jednak trzeba(?) wszystkim zdawać sprawę z wartości tych obrazów (tak się utarło), a z wartości krzesła — tylko specjalistom. Niedawno rozpoczął stały kurs Gdynia — Ameryka, statek nasz, M. S. „Piłsudski". Ten najnowszy nasz okręt, benjaminek, ma wnętrza pomyślane przez polskich artystów, wykonane przez nasze wytwórnie. Każdy sprzęt na nim, aż do najdrobniejszego szczegółu, jest dziełem polskich rąk i polskiej myśli twórczej. Ten statek—to pływająca ambasada, jak działa, co mówi obcym o nas, dziełami naszych artystów? To chyba ważne, no i ciekawe, ciekawsze dla niejednego, niż jeszcze jedna recenzja kilkunastu wierszyków i rozwiązanie „palącego" zagadnienia, czy autor ich ulega wpływom Tuwima, czy nie. Ale o tem pisma literacko-artystyczne „ani dudu".

Zapewne, że nie wszystkie gałęzie naszej plastyki wykazują jednaką żywotność, że nie w każdej z nich mamy się czem pochwalić. Ale niejedna z nich przysparza chwały polskiemu imieniowi zagranicą (bo język sztuki jest międzynarodowy), lub, co jeszcze ważniejsze, nadaje już oddawna nowy kształt formom naszego życia. Czy zdajemy sobie sprawę z tego, jak ważkich przeobrażeń, w upodobaniach polskiej inteligencji, dokonała działalność „Ładu" w zakresie tkanin? Architekci budują nam, inne niż dawniej, mieszkania; czy którekolwiek z pism (oprócz fachowych) wyjaśnia mieszkańcom tych domów, czem ich poczęstowano? Ja sam, choć tkwię w sztuce, dzięki przypadkowi nieledwie zapoznałem się z estetyką małych, współczesnych ogródków. Obok nas, dla nas pracują ci wszyscy plastycy, a prasa, która tak lubi chwalić się swą rolą informatorki, omija zwykle te sprawy, przechodząc koło nich zgoła obojętnie.

Gdy więc któregoś dnia redakcje pism oraz ich czytelnicy obudzą się w nowych, nieznanych mieszkaniach, gdy za oknami zobaczą nowe, inne ogrody, — niech im się nie wyda, że są na Marsie.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

KONSERWATORJUM. — W programie warszawskiego pobytu France Ellegaard — oprócz wieczoru w Filharmonji, gdzie świetna, młoda pianistka odegrała z towarzyszeniem orkiestry koncert *g-moll* Saint-Saënsa, znalazły się i dwa recitale fortepianowe. Powitaliśmy je z niekłamaną radością; pełnię bowiem talentu artystki można dopiero należycie ocenić w sali o charakterze kameralnym.

[1]) Ponieważ pracuję, jako recenzent sztuk plastycznych, w jednym z dzienników („ABC"), omówiłem z jego redaktorem, p. St. Piaseckim, całą sprawę i chęć zreformowania panujących w tym zakresie zwyczajów będzie naszem wspólnem zamierzeniem.

France Ellegaard, zdając sobie sprawę z charakteru swojej sztuki, umie w sposób bardzo dobry ułożyć sobie program. Jeśli z polonezów Chopina wybrała *fis-moll*, to napewno szalę decyzji przechylił tu niezrównany liryzm utworu. Inna sprawa, iż całość jest utworem nawskroś bohaterskim, co stwarza trudność interpretacji, nieraz nie do pokonania.

W niedzielę, 8-go z Chopina wykonała nokturn *f-dur* oraz dwie etiudy *e-moll* i *f-dur* op. 25. Etiudy technicznie bez zarzutu, nokturn natomiast zamało posiadał duszy. Probowałem dociec przyczyny tego, zwłaszcza, iż powtórzyło się to w *impromptu* Schuberta i—mam wrażenie, że się nie mylę—winę tu ponosił przedewszystkiem fortepian (*Steinway & sons*), zbyt ostry, dobry może jeszcze w oddawaniu Mozarta (w niedzielę sonata *b-dur*) i Débussy'ego, zwłaszcza odegranych *Feux d'artifice* i *Bruyères*, chociaż najlepszą interpretację Debussy'ego słyszałem na instrumencie Pleyela, bardziej, mimo swej precyzji, w tonie matowym.

W sposób niemal idealny pianistka skontrastowała ostatnią zdecydowaną, mocną, rytmiczną część etiud symfonicznych Schumanna z poprzedzającą ją liryczną, pełną prawdziwie romantycznego czaru. Obydwie części stanowią jakby syntezę Schumannowej postaci, najbardziej może romantycznej, najbardziej związanej z epoką zarówno w formie, jak i w programie postępowania, wreszcie przebiegu całego życia. Zestawienie etiud symfonicznych, dowodu pracy i nowych koncepcyj autora, z Lisztem nie wyszło na korzyść temu drugiemu, zwłaszcza że reprezentował go płytki, efektowny i — bądźmy szczerzy — blagierski utwór „*Après une lècture de Dante*". Już to musimy stwierdzić, że lektura Dantego nie wpływa jakoś w sposób dodatni na inwencję kompozytorską... Ani rusz nie mogą oni stworzyć dzieła kongenjalnego z postacią wielkiego twórcy włoskiego średniowiecza. Po usłyszeniu lisztowskich wrażeń, któremi się podzielił ze wszystkimi przy pomocy odegranego w niedzielę utworu, mamy ochotę zakrzyknąć: „Ależ pan, panie Liszt nic a nic nie zrozumiał".

Zato *Campanella* świetna, zwłaszcza tak odegrana! Precyzja walczyła o lepsze z subtelnością, istota utworu, owa idealna wirtuozerja oddana w sposób chyba doskonały. Równie dobrze odegrano *Càprice f-moll* Dohnanyi'ego.

Ellegaard, zmuszana oklaskami, nie szczędziła naddatków. Jednym z popisowych utworów stała się moniuszkowska „Prząśniczka" w transkrypcji Melcera. Nie wiem, czy był to kurtuazyjny ukłon w stronę polskiej publiczności, czy też artystka utwór ten włączyła do swojego stałego repertuaru. A tak uczynić powinna. Piękna linja moniuszkowskiego motywu, ujęta w wirtuozyjną formę, stwarza całość, która musi olśniewać, chociaż jakże bogaty, jakże niebywale bogaty jest tu ten skromny Moniuszko... Zdawało się czasami, że to biednego i prostego organistę, który o sobie mawiał z niekłamaną irytacją „...że ktoś jest tyle głupi, ażeby się mną po stracie Chopina mógł pocieszać, to nie moja wina, nigdy siebie nie stawiałem obok jakiejkolwiek uprawnionej znakomitości europejskiej, cóż mówić o Chopinie, dla którego uwielbienia nie mam granic", ciągną za rękaw przed rozentuzjazmowany tłum słuchaczy. I jakoś wszystko razem tak nie do twarzy... „Prząśniczka" bez transkrypcji, tak jak ją stworzono, lepsza, ale w Melcerowskiej oprawie świetniejsza.

A to nie jest jedno i to samo.

W. NARUSZ

ERRATA. W wierszu „Krzak łąkowy" M. Gembarzewskiego („Myśl Narod." nr. 46, str. 725) w wierszu 6 od góry w I szpalcie zamiast „szeleści" winno być „szeleszcze", w wierszu zaś 19 od góry w I szpalcie, zamiast „będzie", winno być „rośnie".

Staraniem wydawnictwa „MYŚLI NARODOWEJ“ i na jego dochód odbędzie się w piątek 13 b. m. odczyt prof. ROMANA RYBARSKIEGO o bieżących sprawach gospodarczych i politycznych. Sala Tow. Hygjenicznego przy ul. Karowej. Początek o godz. 8 wieczorem. Bilety nabywać można na miejscu (po 1 zł. albo po 50 gr.)

POKŁOSIE

DEBIUT

W UBIEGŁYM tygodniu zadebiutował przed *forum* kraju nowy Sejm. Nie było to wprawdzie pierwsze posiedzenie, był jednak t. zw. wielki dzień parlamentarny, dzień debaty ogólnej nad położeniem kraju, w której to debacie musiało się odsłonić oblicze nowej izby ustawodawczej. Niewiele się spodziewaliśmy po tym występie i trzeba przyznać, że Wysoka Izba nie zawiodła pod tym względem oczekiwań. Debiut wypadł fatalnie.

Nie będziemy kłaść większego, niż na to zasługują, nacisku na rozmaite mankamenty formalnej natury, związane jednak, jak się okazuje, ściśle ze strukturą nowych izb: tak np. prosta czynność wyboru komisji, zabierająca dawniej dosłownie zaledwie minuty czasu, dziś przedłuża się na całe godziny i sprawia, że posłowie więcej czasu spędzają w bufecie lub w kuluarach, czekając na rezultaty obliczania kilku tysięcy głosów, niż na samej dyskusji. Ale jak ta dyskusja wygląda i jakie budzi echo?

Jeden z posłów wyraził się, iż zaszedłszy w zwalczaniu partyjnictwa zadaleko, „stworzyliśmy pustkę nie do wytrzymania” i ma w tej ocenie położenia Sejmu najzupełniejszą słuszność. Nowi posłowie są zupełnie krajowi nieznani, nikt, z wyjątkiem chyba ich bliskich znajomych, nic o nich nie wie, nie wiadomo, jakie są ich kompetencje do sądzenia o sprawach kraju, jakie rezultaty ich dotychczasowej działalności, jaką jednem słowem wagę reprezentuje ich zdanie. Stąd jedyne przemówienia, które zdolne były wywołać większe zainteresowanie, były: albo mowa p. A. Wierzbickiego, o którym ogół wie, iż reprezentuje interesy wielkiego przemysłu i to, co powie, jest miarodajne dla oceny stanowiska tej wpływowej grupy gospodarczej, lub też wystąpienia przedstawicieli narodowości niepolskich, jak p.p. Pewnego, Mudryja, czy reprezentantów żydowskich. Czytelnik gazet napewno je przeczytał, gdyż wie, że dowie się z tej lektury, jak reagują na dzisiejszy układ stosunków niektóre odłamy mniejszości, chciałby pewno wiedzieć, jakie są istotne wpływy i możliwości wśród Ukraińców tego prądu, w imieniu którego przemawia p. Mudry i t. p. Przemówienia polskie były wyrazem opinji prywatnej nieznanych ludzi, słuchaliśmy ich tak, jak się czasem słucha dyskusji prowadzonej przy sąsiednim stoliku w kawiarni — bez dalszych konsenkwencyj.

Poseł Kopeć ma zupełną rację. Elementarny błąd, polegający na pomieszaniu pojęcia partji i partyjnictwa, wytworzył naokoło Sejmu pustkę, pozbawił jego głos rezonansu, dzięki któremu mógłby dojść do ucha kraju. Partyjnictwo, chorobę rozpowszechniającą się przy niedostatecznej czujności sumienia obywatelskiego, utożsamiono z partjami, które są naturalnym wynikiem tendencji zrzeszenia się ludzi pokrewnych ideałów i zgodnych poglądów na sposób ich osiągnięcia. A bez takiego zrzeszenia jakaś wydatniejsza działalność społeczna jest przecież niemożliwa, chyba gdy się jej ima jakaś jednostka genjalna, o głowę przerastająca ogół.

Dawniejszy poseł, członek jakiegoś stronnictwa, gdy sam nawet był mniej ogółowi znany, miał za sobą, występując w Sejmie, autorytet, większy lub mniejszy, swej partji, jego głos był interesujący, jako odzwierciadlenie pewnego prądu ideowego; dzisiejsi są pozbawieni tego oparcia i czują to sami.

Próbują się więc zrzeszać, chociaż na innym jakimś gruncie, nie partyjnym. Są próby zrzeszeń regjonalnych, te jednak wywołały, i słusznie, głos potępiający p. St. Bukowieckiego, osobistości w „sanacji“ ważnej. Grupa regjonalna może być pożytecznem uzupełnieniem w szerszej organizacji, ale jako zasadnicza podstawa działalności politycznej oczywiście musiałaby rozwinąć tylko parafjańszczyznę. I oto sam p. Bukowiecki proponuje zrzeszenia na podstawie poglądów, czyli... partje!

Narazie do tego, przynajmniej jawnie, nie dochodzi. Tworzą się natomiast inne, jak np. grupa rolników, którym ma przewodniczyć generał Żeligowski. Grupa rolników, hm... czyżby zalążek stronnictwa agrarnego? Inni znów łączą się według zainteresowań fachowych, więc np. powstaje grupa oświatowa, więc niejako „speców“ od oświeconego absolutyzmu. Jednem słowem, wszyscy starają się wykoncypować jakąś namiastkę systemu partyjnego, o którego pozytywnych walorach zaczynają się naocznie przekonywać.

Nowa Izba czuje dobrze, że niema w społeczeństwie miru i powagi. Jest więc niezadowolona, a jej zły humor zwraca się w dość zrozumiały i ludzki sposób przeciwko głównemu twórcy jej zasadniczych rysów. Według zdania poinformowanych obserwatorów jednym z najmniej popularnych w Izbie ludzi jest... p. Sławek. Wyraża się to między innemi w złośliwem zwalczaniu jego przyjaciół przy wyborach do komisyj. Tak oto dziecię zwraca się przeciw rodzicowi.

ARGUS

NA MARGINESIE

Mówią, że nowy minister oświaty zamierza uporządkować swój resort od A do Z. Niestety, w alfabecie polskim istnieje jeszcze Ź.

*

Podobno Marszałek Car zasypia, tak jałowe są mowy posłów, zostawionych bez żadnej dyrektywy programowej. Ale sam tego chciał, jako twórca ordynacji i regulaminu. Jak sobie kto zaordynuje, tak się wyśpi.

*

Podobno jeden z dygnitarzy sanacyjnych obudził się nagle pośród nocy, krzycząc głośno i cały zlany zimnym potem.

— Co ci jest? Co się stało? — zapytuje zaniepokojona małżonka.

— Ach, nic, nic... Wyobraź sobie, moja droga, śniło mi się, że sprawami oświatowemi zajmowało się w Polsce nie dwu, ale trzech braci Jędrzejewiczów...

*

Dzienniki donoszą, że p. Sławek wydał polecenie likwidatorom b. organizacji BB, aby wszystkie archiwa doszczętnie spalili.

Jest to bardzo postępowe. Prasa oddawna domaga się tego, aby śmiecie były palone.

*

— Patrzaj, dziennik ten wyraża powątpiewanie, czy wybór p. Świtalskiego na stanowisko wojewody krakowskiego jest trafny.

— Ach, ta centralizacja! Są ludzie, którzy radziby całą twórczość scentralizować w Warszawie. Małopolsce zachodniej też się coś należy.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.